

Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 9 (2013)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

Z profesorem Israelem Gutmanem rozmawia Barbara Engelking

Barbara Engelking talks with Israel Gutman

Barbara Engelking
Instytut Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk

bengelki@ifispan.pl
ORCID: https://orcid.org/0000-0001-8361-4427

Israel Gutman
Yad Vashem

redakcja@holocaustresearch.pl

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.587
Strony/Pages: 207-242

CC BY

OPEN ACCESS

Rozmowy

Z profesorem Israelem Gutmanem rozmawia Barbara Engelking

Spotykałam się z Profesorem wielokrotnie pomiędzy listopadem 1998 a lutym 1999 r. w Jerozolimie, u Niego w domu, by wysłuchać Jego opowieści. Nagraliśmy wiele godzin rozmów, niniejszy zapis stanowi część autoryzowanej wersji.

Israel Gutman: Miałem jednego dziadka, który mieszkał na Franciszkańskiej – może drugi dom od Nowiniarskiej – nazywał się Oberman, to była mamy rodzina; zmarł, kiedy ja byłem dzieckiem. Tam było dwanaścioro dzieci – dwóch synów i dziesięć córek. To była bardzo religijna rodzina, ortodoksyjna. Dziadek był mędrcem, napisał jakąś książkę. Był kupcem, ale wiele czasu poświęcał studiom. Ale już dzieci są ubrane po europejsku prócz najstarszego syna, który był ortodoksyjnym człowiekiem, mieszkał w Radomiu. Dziadkowie mieli bardzo duże mieszkanie; pamiętam, że zawsze w sobotę wieczór rodzina się tam spotykała. Pamiętam, jak żeśmy jechali – ja z matką – tramwajem z Solca na Franciszkańską. Pamiętam te spotkania: to było niezwykłe, bo my, dzieci, się ze sobą bawiliśmy, rozmawialiśmy, mieliśmy swoje historie i to nas interesowało. Babcia była centrum tego wszystkiego, miała dla nas cukierki i rozmawiała o każdej rodzinie z córkami. Jedna córka została starą panną, dwóch innych nie było w Polsce: jedna była we Francji, jedna w Stanach. Z tej rodziny nie został nikt, tylko jedna ciotka… Dziadkowie byli w swoim czasie bogatą rodziną – on się zajmował handlem skór, był człowiekiem zamożnym. Ich dzieci były w różnej sytuacji finansowej – niektórzy bardzo biedni, inni zamożniejsi. Moi rodzice należeli do tych w średnim stanie, u nas też bywało źle z punktu widzenia materialnego, w ostatnich latach przed wojną – bardzo źle.

Myśmy mieszkali przez długie lata daleko od Franciszkańskiej – na Solcu 75. Mieszkaliśmy w domu, w którym byli i Żydzi, i Polacy – razem żeśmy się bawili, grali w piłkę nożną i tylko jak coś się nie udało, to ten był Żydem, a ten był goj.

Pamiętam też drugiego dziadka, który miał w swoim czasie knajpę, taką restaurację na Solcu. Naprzeciwko była duża rzeźnia, do której przyjeżdżali po końskie włosie kupcy, zdaje się z Hrubieszowa, gdzie się robiło miotły. Oni bywali w tej knajpie, tam robili interesy, to było ich miejsce spotkań.

Ten dziadek ze strony ojca nazywał się Abraham, on też był religijny. Jego lepiej pamiętam, bo mieszkał prawie z nami i dużo się mną opiekował. Właśnie ze względu na niego chodziłem do chederu. Co sobotę siadywał ze mną, przepytywał mnie z tego, czego nauczyłem się w chederze. Był zadowolony, że wiem, że czytam; ja byłem wtedy bardzo dumny i trochę uczyłem się ze względu na te

soboty… Przestałem chodzić do chederu zaraz po jego śmierci. Zmarł, jak miałem 6 lat – w 1929 r.

Barbara Engelking: Jak się poznali Pana rodzice?

I.G.: O ile wiem, to było swatane małżeństwo. Pobrali się przed pierwszą wojną światową, nie byli już tak młodzi – mieli po 23, 24 lata. Ja po wielu latach zacząłem rozumieć, że mój ojciec był człowiekiem niezwykłym. Już gdy byłem małym dzieckiem, starał się mi przekazać dużo z tego, co myślał i przeżywał; bardzo to na mnie wpłynęło. Może dla większości ludzi, wśród których się obracał, te jego myśli, wrażenia, sądy o ludziach i wydarzeniach były niezrozumiałe. Pamiętam, jak brał mnie na spacery po ulicach, jak uczyłem się czytać z szyldów. Pamiętam, jak mi opowiadał o swoim dzieciństwie, a także o polityce: co to jest syjonizm, co to jest Bund, jakie są ich poglądy, dyskusje, różnice zdań.

B.E.: Czym się ojciec zajmował?

I.G.: Przez pewien czas miał sklep – trochę spożywczy, trochę kawiarnia – w tym samym domu, na Solcu. Tam się jadło śniadania, tylko nikt nie przychodził jeść… Jako kupiec ojciec nie był [wiele] wart, nasza sytuacja materialna była bardzo kiepska i ciągle się żyło przeszłością, tym, jak to było kiedyś. W tym okresie antysemityzm dawał się we znaki. Kiedy szedłem do chederu – to było niedaleko: Solec 111 lub 113 – były okrzyki: Żydzi, gudłaje, do Palestyny itd. – to było naturalne. Ale też niekiedy dostawaliśmy razy pałkami. Potem okazało się, kiedy byłem w organizacji Ha-Szomer ha-Cair, że Mordchaj Anielewicz mieszkał na Solec 113. Ja myślę, że ten cheder to było 111.

Do szkoły powszechnej chodziłem początkowo na Pańskiej, potem na Marymoncie. Dlaczego na Marymoncie? Tam była jakaś fabryczka wyrobów z gumy, m.in. zabawek. I ojciec mój – nie wiem skąd, bo choć oprócz wykształcenia żydowskiego chodził także do polskiego gimnazjum, ale go nie skończył – znał się trochę na chemii i pracował tam jako specjalista. W moim życiu to miało później ogromne znaczenie, gdyż właścicielką tej fabryki była pani Regina Gepner, siostra Abrahama Gepnera[1]. Dzięki temu w getcie ja miałem opiekę. Ona była chyba wdową i mieszkała razem z bratem. Abraham Gepner miał bardzo żywy kontakt z tą siostrą. Ona była niezwykle energiczną osobą. Nie doszła do takiego majątku jak on, ale była bezwzględnie człowiekiem majętnym. Ona bardzo ceniła mojego ojca, mieli żywe kontakty. Ojciec nie tylko tam pracował, lecz myśmy tam także mieszkali.

B.E.: Jak Pana rodzice mieli na imię?

I.G.: Beniamin i Sara. Rodzice mówili między sobą po żydowsku, a my z rodzicami niekiedy żeśmy rozmawiali po żydowsku, ale między sobą po polsku. Było nas troje dzieci. Najstarsza siostra – Ryfka, 8 lat starsza ode mnie, urodzo-

[1] Abraham Gepner (ur. 1872 w Warszawie, zamordowany 3 V 1943 r. w czasie powstania) – kupiec, działacz gospodarczy i filantrop, przewodniczący przedwojennej Centrali Związku Kupców w Polsce; w getcie cieszył się wielkim autorytetem, przewodniczył Radzie Gospodarczej, kierował Zakładem Zaopatrywania, wspierał finansowo konspirację.

na w 1915 r. Ona była chora na nerki, ta choroba trwała przez lata i to było coś, co nie dawało spokoju rodzinie. Ryfka była niezwykłym człowiekiem, myśmy ją ogromnie kochali. Ona była dla mnie drugą matką – to była taka różnica wieku i ona mi tyle czasu poświęcała, była wspaniałym człowiekiem. Skończyła gimnazjum, pracowała w biurze. Jej choroba to było całe życie rodziny. Z jednej strony cień, który nie dawał spokoju, ale z drugiej strony to tworzyło taki cel, takie uczucie… Ciągle brała lekarstwa i ciągle chodziła na badania i ciągle się sprawdzało… nie było tych środków, które są dzisiaj. A kiedy się zaczęło getto, to niczego nie było… tylko choroba. Nagle stało się jasne, że nie ma żadnej rady… Ona zmarła bardzo wcześnie w getcie… Mała siostra była 9 lat młodsza ode mnie.

B.E.: Jakie były poglądy polityczne Pana rodziców?

I.G.: Ojciec w sobotę kupował „Hajnt"[2], a w domu często też była „Piąta Rano", wszyscy czytaliśmy odcinki powieściowe, które były w tych gazetach. Ojciec bardzo żywo interesował się wszystkim. On był bezwzględnie syjonistą, to znaczy on nie był zorganizowanym syjonistą, ale sympatykiem syjonizmu.

B.E.: Głosował na Poalej Syjon?

I.G.: Sądzę, że raczej na Ogólnych Syjonistów. W tym samym domu na Marymoncie były trzy rodziny żydowskie: my, rodzina komunisty i rodzina bundowca. Mieliśmy taki ogródek przed domem i co tydzień, w sobotę, niedzielę, siedzieli tam mężczyźni i dyskutowało się o polityce. To była moja pierwsza szkoła polityczna.

Bardzo lubiłem szkołę, do której chodziłem; to była polska szkoła powszechna. To był już niedobry okres z punktu widzenia stosunku do Żydów. Nas było dwoje w klasie: ja i córka tego komunisty z mojego domu. Ja się czułem doprawdy świetnie tam i pamiętam do dzisiejszego dnia, jak żeśmy się spotykali, robili razem lekcje, uczyli się i chodzili na wagary do Lasku Bielańskiego. Bardzo też lubiłem tę okolicę – przedmieście, małe domki, dużo zieleni i ludzie tacy otwarci. Pamiętam kierownika tej szkoły, który raz w tygodniu przemawiał do uczniów, mówił, że jesteśmy jednym narodem: Żydzi i nie-Żydzi. Na lekcje religii chodziłem razem ze wszystkimi. Ksiądz już się tego nauczył, że ja trochę znam Biblię, wiem więcej od innych – byłem strasznie zadowolony, że on mnie pyta. Poznałem kogoś, nazywał się Mosze Birman, on zabrał mnie do Ha-Szomer ha-Cair. Miałem pewno 12, 13 lat.

B.E.: Ilu było członków Ha-Szomer ha-Cair w Warszawie przed wojną?

I.G.: Ponad 1000 w samej Warszawie. Razem z Pragą pewnie około 1500. My mieliśmy swoje „gniazdo" na Rymarskiej w gimnazjum żeńskim Zgromadzenia Nauczycieli[3]. To się nazywało „ken", nazywaliśmy to po polsku – gniazdo. Na dole

[2] „Hajnt" (żyd. Dzisiaj) – dziennik społeczno-polityczny o charakterze syjonistycznym, ukazujący się od 1908 do 1939 r., wydawany w Warszawie, w języku jidysz, był jedną z najbardziej poczytnych gazet żydowskich.

[3] Szkoła Powszechna Prywatna Żeńska Towarzystwa Zjednoczenia Nauczycieli – ul. Rymarska 10.

była duża sala, tam żeśmy urządzali zebrania tego gniazda. Zbieraliśmy się według grup wiekowych – to się nazywało „gdut" – to jest większa grupa, drużyna. Ona składała się z poszczególnych małych grup – to się nazywało „kwuca" – to jest krąg [dosł. grupa]. Zaczęło się od najmłodszych, to się nazywało „bnei midbar" – „dzieci pustyni", a potem „cofim", to są po prostu harcerze, a potem są „bogrim" – to starsi. Ciekawe, że „bnei midbar" było koedukacyjne, starsze zastępy były osobne, ale w skład drużyny „gdut" wchodziły zastępy męskie i żeńskie. Spotkania była raz, dwa razy w tygodniu.

Nasza ideologia to było lewicowo-syjonistyczne harcerstwo. W tej lewicowości były najróżniejsze wątki: i Trocki i Kautsky, ale dyskutowaliśmy też o Freudzie i mistycyzmie, i zawsze o Biblii – to wszystko było razem: i syjonizm, i socjalizm utopijny. Śledziliśmy życie w Polsce, to, co się działo w polityce. Ale było pojęcie takie, że my nie jesteśmy częścią tego życia. To było jasne, że my żyjemy tym, że – po przejściu przez wszystkie poziomy życia w organizacji – potem jest Hachszara, przygotowanie do wyjazdu do Palestyny. To była praca, często na roli, na farmach rolniczych, ale także w miastach, w kolektywach. Jasne było, że celem jest wyjazd.

Prawdą jest, żeśmy byli zupełnie zwariowani… Są rzeczy, które się pamięta – ja pamiętam rozmowę z tym moim drużynowym, u nas to się nazywało „madrich" [dosł. przewodnik]; on był człowiekiem ogromnie ciekawym, miał wielki wpływ na moje życie. Nazywał się Josef Warszawiak, był bratem tego Jehudy Warszawiaka[4] i nienawidził go jeszcze przed wojną. Ja o tym wiedziałem, bo często przychodziłem do niego do domu – mieszkał gdzieś na Gęsiej. Miał już pewno 21 lat, był starszy niż przeciętnie instruktorzy chaluców w moim wieku. Uczył się na Uniwersytecie Warszawskim Bliskiego Wschodu. Znał się na wielu sprawach, był człowiekiem niezwykle oczytanym, miał ogromną wiedzę, także literacką. On podczas wojny opuścił Warszawę i zginął w Wilnie.

Była jakaś taka historia, która określiła też moje stosunki z Anielewiczem; one nie były zbyt dobre. On mnie po prostu nie lubił, a to dlatego, że Anielewicz spotkał się z Warszawiakiem w Wilnie na początku wojny. Mieli całkowicie różne poglądy na temat tego, co należy teraz robić. Warszawiak był zdania, że w obecnej sytuacji trzeba zapomnieć o syjonizmie, trzeba myśleć o współpracy z Rosjanami. Uważał, że Związek Radziecki jest dla nas jedyną nadzieją na przyszłość, że prędzej czy później dojdzie do starcia między Hitlerem a Stalinem. Kiedy Anielewicz wrócił do Warszawy, spotkał się z naszą grupą. Ja go spytałem, co słychać u Warszawiaka, co się z nim dzieje. On na to bardzo ostro zareagował. W pewnym sensie może dlatego żyję, że on mnie nie lubił. Bo w styczniu on mnie nie zabrał ze sobą. Ja błagałem go, żeby mnie zabrał z tą grupą, która wyszła do walki, ale on odmówił. Tam była dwójka moich bardzo bliskich przyjaciół, którzy zginęli: Eliahu Różański i Margalit Landau, z którą przez pe-

[4] Jeden ze współpracowników Urzędu do Walki z Lichwą i Spekulacją, tzw. Trzynastki, kierowanej przez Abrahama Gancwajcha, uważany za kolaboranta.

wien czas byliśmy w bardzo bliskich stosunkach. Ona brała udział w zamachu na Lejkina[5]. Zginęła w styczniu. Ona była coś… Takiego ognia już nie spotkałem w życiu…

* * *

Jeszcze przed wojną przeprowadziliśmy się na Nowiniarską 11 lub 13, przy Franciszkańskiej, naprzeciwko kina Forum. Myśmy mieszkali naprzeciwko bramy, na końcu pierwszego podwórza. Pamiętam, że pod naszym mieszkaniem była garbarnia, strasznie śmierdziało. Część frontowa tego domu została zniszczona we wrześniu ’39 r.

Pamiętam dokładnie, jak wybuchła wojna. Spotykaliśmy się wówczas – członkowie organizacji, którzy mieszkaliśmy niedaleko siebie. Miałem kolegę Goldberga, który mieszkał dokładnie na rogu Świętojerskiej i Nowiniarskiej. Jego rodzice mieli mały sklepik – taki bardzo ruchliwy kiosk – i żeśmy się spotykali codziennie podczas bombardowań. Odgłosy tych bomb padających blisko, zbliżających się… 6 września ’39 rozwiązali to gniazdo. Warszawiak prowadził to spotkanie. Każdy miał zawiadomić paru innych – zaimprowizowano apel. On przemawiał, pamiętam dokładnie, co mówił: że musimy się teraz rozwiązać, musimy zlikwidować wszystko, co wskazuje na ślady organizacji.

B.E.: Jakie było wasze nastawienie do wojny? Czego się spodziewaliście?

I.G.: Pewno wyobrażaliśmy sobie, że to będzie jakaś awantura, coś, co przestanie być życiem codziennym; to z jednej strony budziło obawę, a z drugiej ciekawość – to będzie zmiana, zacznie się coś… Pamiętam, że ojciec wziął te pieniądze, które miał – niewiele, ale były jakieś oszczędności na czarną godzinę – i kupił mydło. To nas utrzymywało później przez pewien okres.

Zaczęła się okupacja… prawdą jest, że jeśli chodzi o Żydów, początkowo nikt prawie nie miał pojęcia, co właściwie ta nowa sytuacja dla nich oznacza. Często się mówiło o tym, że Niemcy w czasie pierwszej wojny światowej – w porównaniu z innymi zaborcami – byli najbardziej ludzcy, najgrzeczniej odnosili się do ludzi i było wówczas większe poczucie wolności niż u Austriaków, nie mówiąc już o Rosjanach. I mówili tak: pewno, Żydzi niemieccy bardzo cierpią, bo oni byli przyzwyczajeni do tego, że są równouprawnieni, a to się dla nich skończyło. Nie należy sądzić, że polityka rasistowska wyjdzie poza granice Niemiec. Spodziewano się, że w Polsce stosunek do Żydów będzie mniej więcej taki sam jak do Polaków, jak w okupowanym kraju, gdzie jednak obowiązują pewne reguły i pewne konwencje. Bardziej pesymistyczni mówili, że grozi niebezpieczeństwo mężczyznom, którzy mogą być traktowani bardziej surowo, zmuszani do pracy, ale kobiety i dzieci to zawsze da się oszczędzić. Dlatego to właśnie przede wszystkim mężczyźni wychodzili na Wschód. To też osłabiło społeczeństwo żydowskie, ono straciło duży procent ludzi młodych, z inicjatywą, z możliwościami działania. Ten

[5] Jakub Lejkin (1906–1942) – zastępca kierownika policji żydowskiej w getcie warszawskim, zabity przez żydowskie podziemie w zorganizowanym na niego zamachu 29 X 1942 r.

brak się odczuwało. Cała elita partyjna, polityczna – właściwie poza jednostkami, albo powiedzmy tą trzecią ligą – wywędrowała. Aktyw znalazł się tam.

W naszej grupie nie ma przywódcy. Jest okres, kiedy w ogóle nie istnieje organizacja. I organizacja wyraża się tylko w tym, że ciągle są spotkania, bo po prostu to jest grupa młodzieży, która ma między sobą stosunki przyjazne, koleżeńskie, bardzo bliskie, szkoły nie ma. I zupełnie naturalne jest, że te kontakty młodzieży są między tymi, którzy należeli do ruchu, bo to jest najbliższe. I co się tam robi? Czyta się razem, są jakieś flirty – rzecz, która w swoim czasie była zakazana w organizacji młodzieżowej.

B.E.: Dlaczego?

I.G.: Drużyny były koedukacyjne i była przyjaźń, to zrozumiałe, ale mówiło się o tym, że życie seksualne to zacznie się dopiero w Palestynie. Nie wolno było palić papierosów, stosunki płciowe były zakazane – to się miało zacząć u celu życia, a cel życia zaczyna się w Palestynie. Tam będzie prawdziwe życie, a tu jest niby tylko okres przygotowania. W ogóle było też takie nastawienie, że ten ruch młodzieżowy nie zajmuje się sprawami ideologicznymi albo politycznymi na miejscu. I ideologia, i poczucie przynależności aktywnej to się zacznie gdzieś tam. Tutaj my jesteśmy tylko przygotowywani.

Na początku wojny były takie spotkania, niemające żadnego specjalnego charakteru; mówiło się o polityce, grało w karty. Dużo żeśmy czytali razem, wymienialiśmy książki, rozmawialiśmy. Ciągle było takie poczucie, że nam tego brak, że to niemożliwe, że ta organizacja nie odrodzi się.

Powoli zaczyna się to, z czego wszyscy cierpią – łapanki do pracy. Nie można było wychodzić spokojnie na ulicę. Nie wiadomo było, na jakim zakręcie zostanie się złapanym. To były zawsze jakieś takie upokarzające i brudne prace, najbardziej poniżające. I niewiadomo było, czy po godzinach pracy już dadzą spokój. Często zabierali dokumenty i zmuszali do przyjścia drugi, trzeci raz. To doprowadzało do tego, że się mało wychodziło, uważało się na każdym rogu, czy nie ma łapanek. Nikt tego jakoś nie mógł uniknąć. Prace były na Dynasach i na Luftwaffe na Okęciu, i na stacjach kolejowych, i w alei Szucha… Sprzątanie Warszawy, gruzów itd. To paraliżowało szczególnie mężczyzn, choć łapali też kobiety do sprzątania mieszkań.

Po pewnym czasie trwania tych łapanek do pracy Judenrat zaczął tworzyć grupy robocze. Warunek był, że się skończą te łapanki i że w zamian każdy będzie musiał pracować jeden czy dwa dni w tygodniu. I ja zacząłem bardzo wcześnie pracować jako zastępca… Codziennie pracowałem na inne nazwisko. I dostawałem za to sumę, która wystarczała na chleb. Pamiętam, że przez dłuższy czas pracowałem na lotnisku. I stosunek tych lotników był lepszy niż stosunek Niemców w innych miejscach pracy, gdzie bili i upokarzali. A na lotnisku pracowało się i było dosyć normalnie. Pamiętam też, że żeśmy chodzili grupą, że my z ruchu żeśmy chodzili.

Ale to, co było najważniejsze, jeśli chodzi o ruch – że zaczęli wracać z Wilna. Tam się stworzył taki kolektyw tego ruchu, żyli razem, spotykali się. To była

część ruchu dorosłych, instruktorów, kilkuset z całego kraju. Mordchaj Anielewicz, który był na południu i był przez pewien czas w więzieniu rosyjskim (pomagał jakiemuś dziecku przejść przez granicę i go aresztowali. Twierdził, że chciał temu dziecku pomóc znaleźć rodziców. Uwierzyli mu i po jakichś dwóch czy dwu i pół tygodniach go wypuścili), przybył do Wilna. Kiedy przybył do Wilna, rzucił myśl, że to jest nie w porządku, że oni są w Wilnie, a duża część młodzieży została w Warszawie.

I wtedy oni postanowili wysyłać kurierów. Najpierw Tosia Altman, potem Josef Kapłan, potem Anielewicz ze swoją dziewczyną Mirą Fuchrer i Szmuel Bresław. Oni byli ci pierwsi, którzy przybyli do Warszawy. To nie było tylko zjawisko w Ha-Szomer ha-Cair. To samo było w Drorze: przyjechała Frumka Płotnicka, potem Cywia Lubetkin. Oni wznawiali działalność organizacji młodzieżowych. Są wspomnienia Tosi Altman z tego okresu, jak ona objeżdża różne miejsca poza Warszawą. Pisze o tym, jak przybywa do kolejnych miast, znajduje kogoś, kto należał do Ha-Szomer ha-Cair, i on przeważnie mówi, że czekali, że codziennie się spotykali, jak to jest ważne, że ona przybyła. I bardzo szybko powstała na nowo organizacja.

B.E.: Kiedy do was ktoś przyjechał?

I.G.: Na początku ’40 r., chyba przed marcem. Pamiętam dokładnie, kiedy powiedziano nam, że mamy się spotkać z Anielewiczem, że on przyjechał. Potem bardzo szybko, nie pamiętam dokładnie kiedy, urządzono „ken” – gniazdo w getcie. To była niby-kuchnia publiczna, oddana w ręce organizacji. To jest niezwykłe, że ta pomoc społeczna, która powstała, natychmiast zaczęła pracować dwutorowo: z jednej strony legalnie, z drugiej zaś dawała pomoc różnym ośrodkom nielegalnym. I te organizacje młodzieżowe dostawały lokale, kuchnie. Dror miał coś takiego na Dzielnej 34, myśmy mieli na Nalewki 23 – i myśmy byli na drugim piętrze, a na pierwszym była Gordonia. Tam mieszkała grupa ludzi, mieli swoją komunę.

Ja nie należałem do tego kibucu, nie byłem jego członkiem. Przychodziłem tam, bo tam był „ken” – wieczorem odbywały się różne imprezy. Tam mieszkali tylko ci, którzy należeli do tego kibucu. Potem oni wyjechali do Żarek, na ich miejsce przyszli inni. Z tych Żarek koło Częstochowy prawie wszyscy zginęli. Skąd te Żarki? Ha-Szomer ha-Cair chciał mieć swoją bazę. Początkowo na Grochowie było kilku ludzi, ale to należało do He-Chalucu – to była jakaś konkurencja. I wtedy ktoś w tych Żarkach zaproponował, żeby do niego przyjechali. I tak to się stworzyło. To było oficjalne, nazywało się, że to jest miejsce pracy rolnej. Niemcy się tym zbyt wiele nie interesowali. Były też grupy, które wyjeżdżały na roboty rolne. Organizował to Toporol. Z organizacji młodzieżowych wyjeżdżały całe grupy na sezon. Było tam więcej jedzenia niż w getcie. I to, że się było na powietrzu. Ja nigdy w czymś takim nie byłem. Wiem, że to było mniej u nas niż w He-Chalucu. U nich było dużo przyjezdnych, którzy podczas wojny jako bezdomni się znaleźli w Warszawie. Nie mieli tego oparcia – rodziny, mieszkania, znajomych – które myśmy mieli. U nas to niby-normalne życie trwało o wiele

dłużej. Dla nich te wyjazdy były bardziej atrakcyjne. W gazetach podziemia jest wielka dyskusja między He-Chalucem a Bundem. Bo Bund był przeciwko tym wyjazdom. Twierdzili, że bierze się Polaków na roboty do Niemiec, a Żydzi wykonują pracę tych, których się wysyła. To znaczy, że ci Żydzi, którzy przyjeżdżają na takie grupy – to dzisiaj się wydaje zupełnie śmieszne, ale tę dyskusję brało się bardzo poważnie – umożliwiają Niemcom wysyłanie robotników polskich.

Kuchnia była dosyć otwarta dla innych, a wieczorami odbywały się tam spotkania gniazda. One zaczęły się tam jeszcze przed gettem: 30–40 ludzi razem. I tam zaczyna się życie, bo tam jest biblioteka ukryta w ścianie, zmienia się książki; są spotkania ogólne, są seminaria, które się urządza, są spotkania krajowe. Tam się wydaje gazetki – potem się je przenosi ze względów bezpieczeństwa w inne miejsce. Ale początkowo wszystko było tam. Prawdą jest, że Niemcy nie tak bardzo interesowali się życiem politycznym wśród Żydów w getcie. Zupełnie ich to nie obchodziło. Może sobie w ogóle nie wyobrażali, że coś takiego może powstać, może działać.

Pamiętam, jak tę bibliotekę robiono. Pamiętam, że pomagałem przez jeden dzień. Josef Kapłan był stolarzem, to znaczy znał się trochę na stolarce. I on to robił w ten sposób, że to była niby taka drewniana ślepa ściana, a biblioteka była ukryta za nią. Pamiętam, jak żeśmy gromadzili książki. Dla mnie to było bardzo trudne rozstać się z tymi książkami, które miałem. Ale to był warunek korzystania ze zbiorów. Biblioteka była bardzo bogata. Najważniejsze było, że były tam także książki zakazane, już wycofane z obiegu – czego ja nie czytałem w tym okresie!

I zaczęła się ta regularna praca – były znowu spotkania i znowu śpiewano, co prawda półgłosem, i były rozmowy na różne tematy. Były jakieś takie procesy, to znaczy rodzaj dyskusji. Pamiętam dokładnie, jak był proces o młodzieży w getcie – dyskutowano strony dodatnie, ujemne, wydawano wyroki… Był proces, który dotyczył paktu Ribbentrop–Mołotow. I ciągle coś się działo. Ile się wtedy w to wkładało pracy i wiary i współudziału! Ja sobie dzisiaj myślę – wtedy nie zdawano sobie sprawy z tego – że stworzyliśmy taką wyspę w getcie, która żyła życiem poprzednim. Bo getto ciągle żyło tylko przeżyciem do jutra i sprawą żywności, i sprawą pracy, i sprawą zdrowia – kłopotami, poczuciem niebezpieczeństwa, obawami… W ruchu ludzie spędzali nawet więcej czasu niż przed wojną; nie było szkół, nie było nic innego, a dom był czymś tak smutnym i tak trudnym do wytrzymania… Pamiętam ten okres jako okres takiego światła, gdzie było coś z młodości, poczucia przynależności… To dawało siłę.

Kiedy „Antek"– Icchak Cukierman – przyjechał po wojnie do Kraju, odbyło się wielkie spotkanie w organizacji kibucowej, na którym on przemawiał. I on powiedział coś takiego, że gdybyśmy wiedzieli na samym początku, do czego zmierzają Niemcy, nie spędzalibyśmy tyle czasu na dyskusjach politycznych, na czytaniu, na rozważaniu różnych problemów współżycia koleżeńskiego, przyjacielskiego, ale byśmy przygotowali kadrę do walki, zaczęlibyśmy się wcześniej buntować i walczyć. To samo pisze Ringelblum: Anielewicz powiedział mu, że

żałuje, że długi okres zajmowaliśmy się historiami, które nie miały znaczenia, zamiast przygotowywać się do walki. A ja myślę, że to jest głupie gadanie. Bo na początku nikt nie był przygotowany na to. Jakie można było zrobić szkolenie wojskowe, kto? To była młodzież w wieku 15, 16 lat – dorosłych nie było. Jakie przygotowanie wojskowe? Gdzieśmy mieli jakąś broń? Kto o tym w ogóle myślał? Ale właśnie to, że przez dwa lata żyliśmy normalnym życiem, żeśmy ciągle myśleli społecznie i ciągle czuliśmy się częścią jakiegoś innego świata – to dało nam tę siłę i stworzyło możliwość dotrwania do czasu próby, możliwość zorganizowania się. Wszystkie inne ośrodki życia społecznego zniknęły, poza rodziną. Te organizacje młodzieżowe działały dzięki temu, że elita, dowództwo tych organizacji wróciło. I przypadkowo, a może nieprzypadkowo, to byli ludzie – okazało się – niezwykli. Bo kim był Anielewicz przed wojną? Niczym. On był instruktorem małej grupy w gnieździe warszawskim, ale na poziomie krajowym on się w ogóle nie liczył. I nagle ci ludzie mieli jakąś taką siłę…

B.E.: Czy mieliście kontakty z innymi grupami lub organizacjami młodzieżowymi?

I.G.: Wiedzieliśmy o nich z prasy podziemnej. Poza tym każdy znał kogoś – sąsiada, kolegę szkolnego, kuzyna z innych organizacji. Ja miałem kontakt z ludźmi, którzy w organizacji podziemnej nie byli, ale przed wojną byli razem ze mną w Ha-Szomer ha-Cair. W prasie podziemnej prowadzono dyskusje i polemiki. Ciągle była polemika, przede wszystkim ideologiczna. To rzecz zdumiewająca. Każda z tych politycznych grup trzymała się swojego programu, swojej ideologii. Każda twierdziła, że to ona miała rację i wszystko, co się dzieje, jest właśnie według jej koncepcji ideologicznej. I co się w końcu stało? Różnice teoretyczne stają się coraz bardziej abstrakcyjne, a jeśli chodzi o sytuację w getcie, to powoli wszyscy są tego samego zdania. Ale różnice w teorii są ogromnie ważne, bo to dotyczy stosunku do Rosji sowieckiej, sprawy syjonizmu – miał rację, nie miał racji? To dotyczy pojęcia wojny – jest okres, kiedy się mówi: to jest wojna imperialistyczna, nieimperialistyczna, sprawiedliwa, niesprawiedliwa. Stosunki z Polakami – w Bundzie, ale nie tylko w Bundzie jest zawsze rubryka o tym, co się dzieje w Polsce.

Dużo życia było w tych domach, podwórkach. I nagle myśmy się stali aktywni w tym życiu. Były takie instytucje gettowe, w których myśmy byli aktywni, na przykład w kuchniach dla dzieci. Ja sam opowiadałem im książki, treść opowiadań z książek. Opowiadałem im o Palestynie, czytałem im takie różne rzeczy.

B.E.: Do której kuchni Pan chodził?

I.G.: Gdzieś na Przebiegu – nie, jakaś kuchnia blisko Granicznej. Myśmy tam chodzili: z mojej grupy trzech albo czterech było tam przydzielonych. Chodziliśmy tam dwa razy w tygodniu, spotykaliśmy się z dziećmi. Tam pracowali nauczyciele. I poza tym, że im dawano jedzenie, oni też próbowali je uczyć. To było niezwykłe. Ja pamiętam, jak te dzieci… Nawet się ubieraliśmy odpowiednio, żeby się z tymi dziećmi spotkać – krótkie spodnie i koszule, żeby przypominały umundurowanie szomra. To było przyjęte w organizacji w swoim czasie, że na

tygodniowe spotkania całego gniazda trzeba było przychodzić w pełnym umundurowaniu: szare koszule, krawaty. Pamiętam, żeśmy trochę coś takiego robili, idąc do tych dzieci. Pamiętam, żeśmy im opowiadali… Te dzieci były niezwykłe, one były jak w więzieniu. Nie miały pojęcia o tym, co to jest świat zewnętrzny. Opowiadaliśmy im jakąś książkę o dzieciach w kibucu jak o jakimś raju, gdzieś… To się bardzo szybko skończyło, bo 17 kwietnia przestała istnieć organizacja, wszystkie komórki młodych przestały istnieć. Była obawa, że trzeba wejść do głębszej konspiracji. Do tego czasu było poczucie, że Niemcy się tak nami za bardzo nie interesują i mamy pewną swobodę działania.

Ja chodziłem Lesznem do Ogrodowej… ten trotuar Leszna był taki szeroki, całe rodziny na nim leżały… Z rana ci ludzie, którzy zmarli podczas nocy, przykryci gazetami… jakimiś papierami. Karmelicka – to był jakiś… bo przede wszystkim… przejść przez ulicę. Tam stali policjanci i kierowali ruchem. Trudno sobie wyobrazić, jak to wyglądało, to było niebezpieczne ze względu na wszy. Jedna z tych obaw, która nie dawała spokoju: w tej ciasnocie ludzie się ocierają jeden o drugiego i przenosi się wszy, a wszy to jest tyfus. Utrzymać się w stanie, żeby nie być zawszonym – to było zadanie, z którym przeciętny człowiek w getcie nie mógł dać sobie rady, bo nie było wody, nie było mydła. Mydło to było coś nieistniejącego, domy nie miały instalacji kanalizacyjnej; prysznic albo wanna – to było nie do pomyślenia, prawie tego nie było w getcie. A ludzi było bez końca, zimno… Spało się w ubraniach, pranie było problemem… I jest zrozumiałe to, że ludzie stali się apatyczni, a człowieka, który jest apatyczny, nic nie obchodzi poza tym, że jest głodny. Ten głód to jest jedyna rzecz, wszystko inne jest nieważne. I to było bardzo trudne… Wszyscy byli nerwowi, tarcia i te zmagania, i to poczucie braku jakiejkolwiek perspektywy, jakiejkolwiek możliwości… To nie była nawet walka, bo walka daje jakąś inicjatywę, żąda od człowieka, żeby się mobilizował – to była jakaś całkowita pustka, która nie dawała żadnej możliwości do niczego…

Teraźniejszość była czymś takim… jest w tym coś, gdy się mówi, że dzień był miesiącem albo rokiem… takiego wysiłku przeżycia. Rzeczywistość była taka, że sprawa przeżycia, codzienność wymagała tyle energii, takiego wysiłku, że nikt nie miał w sobie siły planować, myśleć o tym, co uczyni po wojnie, o ile, to tylko jednostki. Śmierć była tą rzeczywistością.

* * *

B.E.: A co się dzieje u Pana w domu w tym czasie?

I.G.: W moim domu był ogromny smutek. Po roku nie było już domu. Mój ojciec zmarł pierwszy, potem zmarła moja starsza siostra. Ojciec był chory, miał zawsze kłopoty z nogami, jakiś taki bardzo poważny reumatyzm. I zachorował ciężko, bardzo szybko zmarł. Jest pochowany na Bródnie, to znaczy zmarł przed powstaniem getta. Myślę, że to było na wiosnę ’40 r. Po dwóch, trzech miesiącach zmarła siostra.

B.E. Gdzie jest siostra pochowana?

I.G.: Gdzieś na Gęsiej, ale nie było żadnego znaku. Szukałem, ale nie znalazłem ani jej, ani matki grobu. Moja matka chorowała na tyfus, była w szpitalu na Lesznie. Nie można było jej odwiedzać. Nie wolno było wejść, tylko przychodziło się do takiego okienka, gdzie udzielali informacji. Codziennie z siostrą przychodziłem i mówili, że dobrze się czuje, lepiej się czuje, wyjdzie z tego. Pamiętam, żeśmy przyszli raz i nie wiedzieliśmy dlaczego – tam podawali nazwiska i wołali – ja czułem, że moja kolejka już przeszła i nie wołają mnie. W końcu mi powiedzieli – matka zmarła. I ja zostałem z siostrą sam… to było… czy ja wiem… Mieszkaliśmy na Ogrodowej w jakimś pokoiku, nie pamiętam dokładnie, w którym miejscu. Trzydzieści kilka, coś takiego.

B.E.: Ale wasz dom wszedł do getta? Na początku nie musieliście się przeprowadzać?

I.G.: Tak, ale myśmy mieszkali przez pewien okres tam, potem – nie wiem dokładnie, co było powodem – przeprowadziliśmy się z tego miejsca. Jakieś dwa miesiące byłem razem z siostrą. Pracowałem już wtedy w fabryce miodu, a może pracowałem jeszcze w Zakładzie Zaopatrywania. Byłem takim woźnym w biurze, gdzie wydawało się kartki żywnościowe. Na Ogrodowej albo na Lesznie. To było biuro, gdzie były dwa rejony[6]. I tam przychodzili ci z komitetów [domowych], administratorzy, i oni otrzymywali kartki żywnościowe. Ja pilnowałem kolejki, to było moje zadanie.

Po jakichś dwóch miesiącach siostra przeszła do Korczaka. Co ja mogłem zrobić? Ja wychodziłem do pracy – zostawiać dziecko samo codziennie, bez niczego, bez żadnej rodziny, bez opieki, kto by dał jej jeść… Nie było nikogo, kto by się nami opiekował. Siostra Gepnera wystarała się, żeby przyjęto do Korczaka moją siostrę. To było bardzo trudno… Na Chłodnej jeszcze. Co tydzień tam przychodziłem i żeśmy wtedy wychodzili na spacer. Te spacery… Ona nie była szczęśliwa tam. Ona mówiła, że dzieci znające się sprzed wojny są zżyte jak rodzina. Moja siostra nie czuła się tam dobrze. Korczak robił takie wrażenie, że jest, ale go nie ma. Za to wiele rozmawiałem ze Stefanią Wilczyńską. Nie miałem odwagi do niej się zwracać, ale jak przychodziłem, to ona nie tylko opowiadała mi o siostrze, ale pytała mnie o moje życie w organizacji młodzieżowej, interesowała się moimi sprawami. Zawsze czułem się trochę obcy tam, bo to tak się odbijało od świata na zewnątrz…

B.E.: Jak wyglądał dom Korczaka?

I.G.: Ja sobie z trudem przypominam. Ja byłem zawsze wstydliwy, trudno mi było, chciałem pytać o siostrę i nie odważałem się zawracać im głowy tym. Wiedziałem, że powinienem, że to jest moim obowiązkiem pytać, jak ona się czuje, ale nie miałem odwagi i tylko rozmawiałem ze Stefanią. Ona zauważyła, że ja nie mam pewności siebie. Ja odwagę miałem tylko w ruchu. Poza ruchem to ja byłem taki zamknięty w sobie. Pamiętam, że tam było czysto. Wchodziło się przez taką

[6] Jedyne biuro Zakładu Zaopatrywania dla dwóch okręgów: 2. i 3., znajdowało się przy ul. Leszno 13.

dużą salę. Raz albo dwa byłem na takim przedstawieniu czy konkursie. Dzieciom dawało się jakieś nagrody. Ale tam nie było śmiechu…

Przez Gepnera dostałem pracę. Pamiętam, że dużo chodziłem na Leszno 12 do Zakładu Zaopatrywania. Ten dom dokładnie pamiętam. Te biura. Ja tam przynosiłem jakieś sprawozdania, ile się wydało kartek. Tam poznałem bundowca, Zygmunta Frydrycha, który też tam pracował. On był z Bundu, ja z Ha-Szomer ha-Cair, i on był o wiele starszy ode mnie. Ale żeśmy się polubili, było między nami jakieś porozumienie. Dużo rozmawialiśmy. Pamiętam kilku ludzi, którzy pracowali w tym biurze. Jeden z nich – bardzo go polubiłem – nazywał się Rawicki, był zbliżony do PPS. Pochodził z Włocławka, dostał tę pracę dzięki Winterowi[7]. Ja byłem jeszcze młody chłopak, ale on wiedział, że jestem w organizacji, on sam miał różne kontakty. Pewnego dnia powiedział mi, że proponują mu oddanie dziecka do polskiej rodziny. On z żoną nie wiedzieli, co uczynić. To był koniec ’41 r. I on się mnie radził – to było dziwne. Powiedziałem mu, że nie mogę powiedzieć, co ma robić, ale gdybym ja miał możliwości to uczynić z moją siostrą, zrobiłbym to bez żadnego zastanowienia. I wiele lat po wojnie okazało się, że ta córeczka – oddana na aryjską stronę – żyje. Nie spotkałem się z nią, ale rozmawialiśmy telefonicznie i opowiadała o sobie: żyje w małym miasteczku w Izraelu.

Moją rodziną była właściwie organizacja. Śmieszne, ale ja byłem szczęśliwy przez długi okres w getcie… ja byłem po prostu szczęśliwy. Świat poza naszym życiem w organizacji jakby nie istniał. To wyglądało, że to jest całe życie. To był piękny okres w życiu, razem żeśmy czytali książki i poezje, i mieliśmy te swoje dyskusje, które dotyczyły Freuda i Marksa, i Herzla. Te rozmowy, przyjaźnie, poczucie bliskości, więzi – to dało tyle treści… cały świat się w tym zamykał. Pamiętam, jak wieczorami żeśmy odprowadzali jeden drugiego do domu, nie mieliśmy zegarków, a była godzina policyjna, i na ogół żeśmy wracali za późno, bo jeden odprowadzał drugiego, ale szkoda było zakończyć rozmowę, więc te wzajemne odprowadzania bardzo się przeciągały.

Organizowaliśmy takie seminarium dla instruktorów, pisze o tym Ringelblum. Przychodził tam między innymi Menachem Linder[8] – to była niezwykła postać. On uczył demografii, to nie jest najbardziej interesujący przedmiot, ale mówił w taki sposób, że ja pamiętam te wykłady do dzisiejszego dnia. Pamiętam też, że Ringelblum był straszny nudziarz, a [Ignacy] Schipper mówił bardzo żywo. Linder był młody, był promieniującą postacią. Inną niezwykłą postacią był

[7] Szmuel Winter (1891–1943) – kupiec zbożowy z Włocławka, wspierał finansowo JIWO, mecenas żydowskiej książki i teatru; w czasie okupacji w Warszawie, jeden z kierowników Zakładu Zaopatrywania, współpracował z Emanuelem Ringelblumem i z podziemiem w getcie.

[8] Menachem Linder (ur. 1911 w Śniatynie; Galicja Wschodnia) – ekonomista i demograf, studiował we Lwowie (uczeń Stanisława Grabskiego), Wilnie i Warszawie, współpracował z JIWO; w getcie współpracownik i przyjaciel Ringelbluma, organizował kuchnie społeczne, był członkiem „Oneg Szabat”, zamordowany w nocy z 17 na 18 IV 1942 r.

Szmuel Bresław, którego bardzo dobrze znałem. Wieczorem, jak spotykaliśmy się w tym gnieździe, on mnie zawsze brał na jakieś parę minut rozmowy, lubił mnie. Natomiast [Ariego „Jurka"] Wilnera poznałem bardzo dobrze późno, on był nieśmiały, rozmawiał tylko z tymi, którzy go znali.

Pamiętam humorystyczne gazetki, które wydawaliśmy, i pamiętam, jak urządzaliśmy spotkania świąteczne w piątki. Pamiętam, jak pewnego dnia przyszła wiadomość, że Stany Zjednoczone przyłączyły się do wojny – na początku stycznia '42.

B.E.: A jak wydawaliście gazetki?

I.G.: Na powielaczu. To był jeszcze przedwojenny powielacz. Ja dokładnie tego nie wiem, bo to należało do konspiracji. Gdzie się drukowało, gdzie było radio – nie mogłem tego wiedzieć. A radio było – w gazetkach zawsze były prawdziwe wiadomości z frontu. To było rzeczą ogromnie ważną, bo nie było przecież żadnych wiadomości w getcie. Po pewnym czasie nie było też gazet polskich. Bardzo rzadko się zdarzało, że widziałem jakąś gazetę, nawet oficjalną, poza „Gazetą Żydowską".

B.E.: Czytał ją Pan, miał ją Pan w ręku?

I.G.: U nas tego nie czytano… Były rzeczy, które były nieprzyjęte dla kogoś, kto był związany z ruchem. Nie szło się do teatru, uważaliśmy to za coś niewłaściwego. Nie pracowaliśmy w Judenracie.

B.E.: Ale Zakład Zaopatrywania był agendą Judenratu.

I.G.: Tak, to prawda, ale nie pracowaliśmy na stanowiskach wymagających odpowiedzialności. Wykonywaliśmy tylko to, co się nazywało czarną pracą.

B.E.: Uważaliście, że Judenrat to jest rodzaj kolaboracji z Niemcami?

I.G.: Kolaboracji. Nie wolno było pracować jako urzędnik w Judenracie.

B.E.: Jaki był wobec tego stosunek na przykład do Gepnera, który był szefem Zakładu Zaopatrywania?

I.G.: Poprzez Gepnera Zakład Zaopatrywania zajmuje inne miejsce, bo Gepner był uważany za człowieka wielkiej uczciwości, Winter jeszcze bardziej. Dwaj synowie Wintera byli w Ha-Szomer ha-Cair. On sam był jidyszystą, był związany z Bundem. Język żydowski, literatura żydowska – to mu było bardzo bliskie. Gepner był człowiekiem zaufania organizacji młodzieżowych. Co prawda ZZ był częścią Judenratu, ale miał samodzielne stanowisko. Tam pracowało dość dużo ludzi, którzy mieli powiązania z podziemiem. Tak jak w ŻTOS-ie, który był pełny ludzi z podziemia. Ale Grzybowska była synonimem czegoś obcego. Tak jak policja, albo nawet sposób ubierania się – buty z cholewami były symbolem czegoś odrażającego. W getcie też zawsze byli ludzie – niewielu, ale byli – którzy chcieli uchodzić za władzę, chcieli uchodzić za coś innego niż przeciętny człowiek umierający w getcie. I to się wyrażało w różny sposób, między innymi w sposobie ubierania się, w tym gdzie mieszkali, z kim się spotykali, jak patrzyli na innych z góry. I prawdą jest, że ten teatr, restauracje – to należało do tego sektora. Dlatego myśmy byli od tego dalecy. Dla nas to było coś w rodzaju obowiązku – nie mieć kontaktu.

To był niepisany kodeks, to było też pewno coś, co obowiązywało ludzi podziemia. Z drugiej strony pamiętam to nasze seminarium, jak żeśmy śpiewali i śmieli się, i pisali jakieś felietony. Życie towarzyskie w naszym kręgu było bardzo bogate i było zupełnie wolne od jakiego by nie było nacisku. Ale jak żeśmy wychodzili na zewnątrz – to dotyczyło getta – to były takie rzeczy, które obowiązywały, których się nie robi…

Policjanci to byli przeważnie przedwojenni adwokaci, wolne zawody – oni się zawsze uważali za coś wyższego, lepszego niż przeciętny biedny Żyd, gdzieś z Miłej, Gęsiej, Pawiej, Lubeckiego… To było coś zupełnie innego… Poczucie hierarchii istnieje bezwzględnie. Ale jest też inteligencja żydowska, tacy ludzie jak Ringelblum, którzy są częścią tej społeczności żydowskiej, zawsze wśród niej żyli – to jest wspólny los, język i sposób myślenia, i kultura, i życie codzienne, rodzina, wszystko się obraca dokoła tego. Natomiast inni – to trwa do samej akcji i podczas akcji: oni ciągle wierzą, że oni są inni Żydzi, i Niemcy to wykorzystują w pewnym sensie… Gancwajch był znienawidzony strasznie… Były plotki dotyczące Gancwajcha, że on grasował na polskiej stronie i wydawał Polaków i Żydów. Nigdy nie znalazło się takie świadectwo, które by to potwierdziło.

B.E.: Ja słyszałam o nim wprost przeciwnie, pozytywne rzeczy, że on się gdzieś ukrywał, miał duże zasoby i chciał pomagać różnym środowiskom, szczególnie artystycznym… Być może pośrednikiem była Franciszka Mannówna[9].

I.G.: A, Franciszka Mannówna to jest osobna historia. Czy Pani wie, że to jest połączone z tą organizacją młodzieżową? Ona kiedyś należała do Ha-Szomer ha-Cair. Były duże obawy dotyczące jej. Mówiło się o tym w getcie. Mówiło się, że to jest po prostu niebezpieczeństwo. I był ktoś, ja już nie pamiętam kto, zdaje się, że jakaś dziewczyna, która mówiła: nie obawiajcie się, wszystko ona zrobi, ale nie wyda ludzi z organizacji. To była cała grupa, oni się trzymali jako grupa. I część tej grupy została zastrzelona. Myślę, że Mannówny szukali u szczotkarzy w czasie wysiedlenia. Myślę, że część tej grupy została zastrzelona przez Żydowski Związek Wojskowy.

Nie wiem dokładnie, kiedy zacząłem pracować w fabryce sztucznego miodu. Było dużo takich, ostatnia, w której pracowałem, była na Franciszkańskiej 30, tam gdzie mieszkał Zakład Zaopatrywania po akcji. Tam też była taka fabryka. Ja pracowałem tam przez pewien okres samego wysiedlenia i po wysiedleniu przez pewien czas, ale już niedługo. Pamiętam, jak to wyglądało: to była taka kostka papierowa, z jakiejś tektury. I w nich był miód albo marmolada. To sprzedawano właśnie w tych kostkach, na wagę. Przydziały były na kartki. Podstawą były przydziały – to każdy dostawał – ale to w żadnym wypadku nie wystarczało. I była sprzedaż chlebów nie tylko w sklepach, ale i na ulicach. Można też było kupować ze szmuglu – to była podstawa utrzymania getta. W szmuglu byli

[9] Franciszka Mannówna (ur. 1917) – znana warszawska tancerka, w getcie podejrzewana o kolaborację z Niemcami. Zginęła prawdopodobnie w 1943 r. w Auschwitz.

sprzedawcy na dużą skalę i tacy, którzy pracowali na placówkach poza gettem, i oni przynosili ze sobą niewielkie ilości dla stałych odbiorców.

W końcu ’41 albo na wiosnę ’42 r. zaczyna się jakiś okres pewnej stabilizacji w życiu getta. I to wynikało z tego, że po okropnym okresie epidemii, głodu, jakieś strasznej depresji, poczucia opuszczenia stworzyła się jakaś rzeczywistość gettowa. Ta rzeczywistość gettowa była również wynikiem tego, że tylu ludzi zginęło. I zaczyna się jakieś przystosowanie – na ile to nie jest dziwne – do tej rzeczywistości, jaka powstała. Jest o wiele więcej ludzi pracujących i jest poczucie tego, że potrafimy wytrzymać.

B.E.: 22 lipca 1942 r. …

I.G.: Tak… była ta odezwa i Czerniaków jej nie podpisał. Pamiętam, że nawet my wierzyliśmy początkowo, że być może to jest prawda – że to będzie jakieś 60 000, 80 000 – część, która nie pracuje, że to dotyczy tych, którzy nie są w stanie pracować… Tam była cała lista tych, którzy są zwolnieni od wysiedlenia, a na końcu było powiedziane „i wszyscy ci, którzy są w stanie pracować”. Można było z tego wyciągnąć wniosek, że ci, którzy już są zatrudnieni, są bezpieczni. A może powstanie coś, co zmusi wszystkich do pracy, to znaczy że getto stanie się, powiedzmy, obozem. Można było odnieść wrażenie, że doprawdy oni chcą, by ludzie pracowali. Było wielkie pytanie, co się stanie z tymi ludźmi, których oni wysiedlają, gdzie oni ich wysyłają.

Jeszcze przed wysiedleniem, w ostatnich miesiącach zaczynają się ukazywać biuletyny wydawane przez Archiwum Ringelbluma, w których są wiadomości o Bełżcu, o Sobiborze, o obozach śmierci. Wiadomości o Chełmnie są już w styczniu ’42 r. Ten obóz zaczyna działać w grudniu, a w styczniu uciekają dwaj ludzie, którzy przybywają do Warszawy i podają dokładną informację, dokładne sprawozdanie z tego, co się dzieje w Chełmnie. W kołach podziemia to jest wiadome. Prawdą jest, że jest wielka różnica między wiedzieć albo słyszeć a wierzyć do końca. Rozumie się, że są hamulce psychologiczne. Mam takie wrażenie, że myśmy wiedzieli – przekonywaliśmy samych siebie i innych. Ale też u nas był jakiś opór, trudno nam było uwierzyć do końca. A co najważniejsze, nawet ci, którzy wiedzieli – trudno im było pojąć, że to jest jakiś plan w skali ogólnoeuropejskiej. To się wydawało zupełnym szaleństwem. Znaczy pojąć i wierzyć w to i powiedzmy myśleć o tym, że to jest rzeczywistością, z którą się zetkniemy… Po tym wszystkim, czym było getto, to było jakoś tak…

Jakie straszne to było dla nas, jak te pierwsze wiadomości zaczęły napływać, jak zaczęliśmy się pogadzać z tym… „Pogadzać”! Zaczęliśmy rozumieć, że za tym jest jakiś plan. Jakie straszne to było! To jest przełomowe z każdego punktu widzenia. I nagle… żyło się tylko tym. To – kiedy? I zaczęły przychodzić te wiadomości, że to było tu i było tu… Szczególnie z Lublina, gdzie to się stało w marcu. Judenrat lubelski, gdzie zostało jakieś 5000 ludzi spośród powiedzmy 30 000, pozostaje na miejscu i pytają się Warszawy: może wy wiecie, co się stało z tymi ludźmi, którzy zostali wysiedleni z Lublina? Może są u was, może doszła o nich jakaś informacja i Warszawa może dać znać, co się dzieje, gdzie oni są?

B.E.: A kiedy dotarło do waszej świadomości, że to tak właśnie będzie?

I.G.: Dla nas, kiedy się zaczyna przesiedlenie, jasne jest, że ci ludzie, których uprowadzają, to jest śmierć. A po jakichś dwóch tygodniach wracają ci pierwsi. Pamiętam spotkanie z Dawidem Nowodworskim, którego dobrze znałem, jak on daje to sprawozdanie. To było na Miłej. On przyszedł do ruchu. Ciekawe, że on był jednym z najstarszych szomrów i nie należał już do żadnej grupy wiekowej. Tak że on przez pewien czas nie należał, ale wrócił i był potem przywódcą grupy bojowej. I on wraca, i opowiada o tym, i on oddaje sprawozdanie dla podziemia.

Organizacja Bojowa – może już istniała, ale to pierwsze tygodnie. Pamiętam, że jak się zaczęło, poleciałem na Nalewki 23. Wtedy postanowiono, że wszyscy opuszczamy domy, koncentrujemy się razem – wszyscy członkowie Ha-Szomer ha-Cair. Były także inne organizacje: Gordonia… W getcie Ha-Szomer było tylko w tym jednym miejscu – na Nalewkach, Dror był na Dzielnej, każda organizacja miała swoje jakieś ognisko. No i powiedzieli, że wszyscy powinni opuszczać swoje domy i się skoncentrować. Ja – dzisiaj pamiętam to – dla mnie to było najłatwiejsze, bo ja nie miałem nikogo. Dla innych to było zupełnie co innego. I skoncentrowaliśmy się: wysłali nas do jakiegoś domu na Gęsiej. Ja myślę, że to było może 63, coś takiego. Sama fabryka – szop OBW[10] Landaua – była na Gęsiej 30. To była ta część mieszkalna, którą OBW dostało.

B.E.: Czy oni przyjęli całą waszą grupę?

I.G.: Wszystkich, którzy się zjawili. Nie wszyscy mieli pracę, ale jakiś papier… Ja nigdy tam nie pracowałem. To było rozwiązanie polityczne. Nie tylko zresztą dla nas, bo Landau przyjął też i innych ludzi, którzy mieli taką polityczną przynależność. Aleksander Landau był ojcem Margalit Landau. On miał lewicowe, syjonistyczne nastawienie, ale przede wszystkim córka tam była, miała ogromny wpływ na ojca. On miał brata Henryka, ich fabryka stała się szopem. Wszyscy ludzie w getcie starają się być albo w szopie, albo w jakiejś instytucji, która daje pracę. To nie mogło być na samym początku, to musiało być w trakcie wysiedlenia. Początkowo ciągle albo się wracało do domu, albo się było na Nalewkach.

B.E.: Co Pan rozumie przez wracanie do domu?

I.G.: Ja miałem jeszcze swój pokój gdzieś na Prostej wtedy, naprzeciwko Szkoły Zgromadzenia Kupców. Ja jeszcze miałem swój pokój – u ludzi w jakimś mieszkaniu, płaciłem miesięcznie komorne. Przedtem to było na Ogrodowej, potem to było na Prostej. Ponieważ wszyscy byli w szopie Landaua, ja też tam dołączyłem, nie można było inaczej. Są takie wspomnienia, których się nie zapomina. Tej pierwszej nocy na Gęsiej leżeliśmy na tej słomie… jakiś jeden… on się nazywał Zeew (był w starszej grupie, Anielewicz był ich instruktorem przed wojną), zawsze zajmował się śpiewem i przygotowaniem uroczystości i zawsze dyrygował.

[10] OBW – Ostdeutche Bautischlerei-Werkstätte (Wschodnioniemieckie Warsztaty Stolarskie), szop stolarski, który Niemcy utworzyli w 1942 r. na bazie istniejącej tu fabryki braci Landau.

I on zaczął śpiewać. Cała grupa zaczęła śpiewać. Całą noc żeśmy śpiewali – cicho, żeby nie było słychać…

Powstał potem ośrodek w szopie Hallmanna, który stał się drugim ogniskiem Ha-Szomer ha-Cair. Ale w pierwszych dniach wszyscy byli razem. Potem zaczęło być ciasno tam i nie było pracy. Każdy urządzał się, jak mógł. Ja też wróciłem do fabryki Zakładu Zaopatrywania, bo zaczęło być bardzo trudno w tym OBW. Ci, którzy byli prawdziwymi stolarzami, zaczęli wskazywać ludzi z organizacji podziemnych, że są dla nich niebezpieczeństwem, że oni nie pracują; doprawdy, tam przede wszystkim nie było pracy. Jacy stolarze my byliśmy… co myśmy mogli… poza tym nie było co robić. Większość tych szopów to była fikcja. Bo przybyli ludzie, którzy niby potrafili szyć czy coś tam robić w jakichś wyrobach stolarskich, albo skóry, albo inne historie – a w rzeczywistości nie mieli pojęcia o tych zawodach.

Przez pewien czas dom pracowników OBW był na Gęsiej, potem to zostało przeniesione na Miłą. Domy z dwóch stron Miłej – 53, 55, 57 i z drugiej strony parzyste – były częścią bloku OBW. I tam powstało takie centrum, nazywaliśmy to „rikuz". Wszyscy, którzy byli po całym tym getcie, przychodzili tam wieczorami nocować. Przychodzili też często w ciągu dnia, jak były ciężkie wysiedlenia – tam się wszyscy koncentrowali.

U nas było przyjęte, że my nie chodzimy na selekcje, tylko się ukrywamy. Wiedziałem, że sprawdzają w mieszkaniach, dlatego przygotowywałem coś – zawsze była taka możliwość – na dachu na przykład. Byliśmy młodzi, mogliśmy robić to, czego nie mogli robić rodzice, dziadkowie czy dzieci. Dla nas ukrywanie się było czymś zupełnie innym. Pamiętam te wieczory, kiedy każdy opowiadał o tym, jak się ukrywał. Byli tacy, którzy byli już znawcami i dawali rady. To tworzyło też pewną atmosferę – takich bohaterów, tego, jak to się urządzić… Ja nie byłem takim znawcą… Najlepsze kryjówki były, kiedy była jakaś ślepa ściana, i za tą ścianą. Stawiało się powiedzmy szafę w ten sposób, że za nią były jakieś drzwi, takie historie. Były też kryjówki na strychach… W klatkach schodowych były wejścia, wyjścia, schody, piwnice. To było ogromne miasto. Nie było tak łatwo znaleźć wszystkich… Dla Niemców to było trudne – oni sobie nie wyobrażali czegoś takiego. W każdym razie oni tego nawet nie robili, nie szukali w czasie kotła, nie szukali w sposób dokładny, bo inaczej by nie mogło tyle ludzi pozostać, ile pozostało – jakieś 20 000 ludzi poza tymi, którzy mieli numerki.

Ta różnica to wszystko byli nielegalni, którzy byli ukryci. W czasie kotła byliśmy gdzieś na Miłej przy Smoczej w piwnicy nieistniejącego, zburzonego domu. Dostaliśmy się do piwnicy i zamaskowaliśmy wejście pierzem. Jak wyszliśmy stamtąd, to już było po kotle.

Łapanki były ułożone w system: początkowo brano tylko starców, ludzi, którzy nie mieli żadnych papierów. Oni mieli komendanturę wysiedlenia, mieli codziennie jakiś plan. Robili to wspólnie z Ukraińcami, Łotyszami i policją żydowską. Początkowo było więcej ukraińskiej i żydowskiej policji, po jakichś dziesięciu dniach to się zmieniło. Ale jak im nie starczyło ludzi, to po tygodniu

zaczęli łapać na ulicach. To było zupełnie przypadkowe. A ludzie zaczęli się do tego przyzwyczajać – nie chodziło się po prostu. Nie wolno było się pokazywać na ulicy.

Przez pierwszy tydzień, pierwsze dwa tygodnie jeszcze oni honorowali te dokumenty. Jaką oni mieli metodę? Wchodzili do domu i wołali, żeby wszyscy zeszli na podwórze, na sprawdzanie dokumentów. Początkowo zostawiali tych, którzy mieli jakieś dokumenty, brali tylko tych, którzy nic nie mieli. W czasie kiedy ludzie byli na dole, zaczęli chodzić po mieszkaniach i szukać tych, którzy się ukrywali. I tych, którzy się ukryli, brali albo zabijali na miejscu. Potem wracało się do domu. Potem niektórych dokumentów nie uznawali, zabierali dzieci… I w końcu to było tak, że zamykali nie jeden dom, ale część ulicy. A potem to przeszło na szopy – początkowo tych szopów nie ruszali. W szopach to znowu szło w ten sposób, że brali tych, którzy byli niepożądani. To kierownicy szopów wydawali tych, którzy nie byli zawodowcami. Potem dokumenty ciągle mniej i mniej honorowali. I ciągle były takie pogłoski, że to się ma skończyć jutro… ma się skończyć pojutrze… przyszła wiadomość, że… Prawie wszyscy zostali bez żon, to było coś nie do wiary… wszystkie kontakty z ludźmi zupełnie ustały… Myśmy byli jedyną może grupą, która ciągle była zespolona. Wszystkie kontakty się urwały. Ten okres to był okres… polowania na człowieka, które trwa bez końca….

Nas złapano kilkakrotnie, ale zawsze jakoś udało się nam wydostać. Mnie osobiście kilkakrotnie się udało wydostać. Dla nas było jasne, że nie wolno nam iść tą drogą, że o ile zostaniemy złapani i dostaniemy się na Umschlag i będziemy w wagonie – to idziemy na śmierć. Sądzę, że to było inne niż u innych ludzi, bo nie chodziło tylko o to, że ratujemy siebie. Ludzie, którzy chcieli ratować siebie, powoli załamywali się. U nas było też jakieś poczucie obowiązku – że mamy spełnić jakieś zadanie i to, że walczymy o życie, jest również wykonaniem tego zadania.

Już była Organizacja Bojowa. Organizacja Bojowa powstaje podczas wysiedlenia. Nawet nie wiem dokładnie jak, bo ja tam nie byłem – to zostało postanowione w małym kręgu dowództwa. Ale wiedzieliśmy nazajutrz, że jest organizacja. W ogóle myśl o walce, o przeciwstawieniu się powstała o wiele wcześniej.

Ja raz byłem na Umschlagplatzu. Uciekłem z pociągu z grupą. Było to zupełnie niespodziewane, bo wtedy nie łapano w blokach mieszkalnych szopu. To była jedna z pierwszych łapanek na terenach szopów. Złapali nas na Miłej i zaprowadzili na Umschlag – to było późno – i natychmiast wsadzili do pociągu. I myśmy wiedzieli, było dwóch, którzy dokładnie wiedzieli, co należy robić. Było nas pięcioro: czterech chłopców i dziewczyna… tam była jedna rzecz bardzo tragiczna. Była dziewczyna, której w żaden sposób nie można było przez to okienko przerzucić. Po prostu była tęga… Nic nie pomogło, trzeba było myśleć, co robić… I ona została. Ta czwórka uciekła i żeśmy czekali, żeśmy się umówili, że wyskoczymy – to nie było takie trudne. Wyjaśnili nam dokładnie, jak to robić, żeby się zaczepić o okienko i żeby skoczyć razem z ruchem pociągu i żeby natychmiast rzucić się i odczekać jakiś czas…

B.E.: Nie strzelali?

I.G.: Nie było żadnych strzałów. Byliśmy podzieleni na dwóch i dwóch.

B.E.: Daleko od Warszawy wyskoczyliście?

I.G.: To nie było daleko. Może 6 km… Żeśmy czekali… zrobiło się ciemno…

B.E.: Jak się nazywała ta dziewczyna?

I.G.: Tosia. Ja jej nie znałem, ona była ze starszej grupy. Pamiętam, jak ona rozpaczała… To są rzeczy, których się nie zapomina, taką decyzję podjąć.

* * *

B.E.: Jak się zmienia atmosfera w getcie po akcji?

I.G.: Ja pamiętam jedno – że oczekuje się ciągle nowego wysiedlenia. Żeśmy zawsze oczekiwali tego wysiedlenia w poniedziałek. Te poniedziałki były najbardziej niebezpieczne, bo podczas tego wielkiego wysiedlenia były takie przerwy. I zawsze wznowienie było w poniedziałek. I myśmy zawsze w poniedziałek gromadzili się razem. O ile coś zajdzie – żebyśmy nie byli rozproszeni.

B.E.: Gdzie się gromadziliście? Na Miłej?

I.G.: Na Miłej. Z Miłej też wychodziła placówka na Pragę. Z ramienia OBW. Tam nie było co robić i oni wychodzili na Pragę. I z tego się utrzymywano mniej więcej. Pamiętam, że atmosfera była bardzo niedobra. Już się zaczęły takie… zaczęto pić, były papierosy, takie dosyć wolne życie między… byli tacy, którzy w to weszli tak.

B.E.: Były śluby?

I.G.: Śluby były. Ja sam miałem jakiś taki ślub podczas akcji – to było ogromnie ważne w czasie wysiedlenia, bo ja mogłem dać pokrycie dla kogoś. Ja się ożeniłem z kimś doprawdy bliskim, ale to nie musiało być tak.

B.E.: Prawdziwy ślub u rabina Pan brał?

I.G.: Pewno, tylko tak to było uznane.

Atmosfera po akcji… O ile ja to słusznie rozumiem – to, co wpłynęło, to przede wszystkim jakieś takie otrzeźwienie… po tym wielkim wysiedleniu. Samo to wielkie wysiedlenie to był nieustający szok. Ludzie byli w nieustannym napięciu i to nie dawało im nawet możliwości zastanowienia się, co się dokoła dzieje, co właściwie się stało. Jak to się skończyło i wrócili do domów i już nie było tego napięcia, że za godzinę, za dwie godziny znowu się zjawią – gdzie się ukryć, ukryć kogoś innego, kto jest, kogo nie ma, jak ratować tego, kogo wzięto wczoraj itd., itd. Po akcji przyszedł czas, w którym wszystko było puste, takie inne. I wiadomości… Bo przedtem to się mówiło – a może gdzieś… Powoli to się stało jednoznaczne, to był jeden z powodów… Po co ta walka, cały ten wysiłek – po co? Jaki sens ma życie, skoro to tak wygląda?

Wszyscy wtedy mówią: jak jeszcze coś będzie, rzucimy się po prostu z gołymi rękami, będzie, co będzie. Tworzyła się taka atmosfera. I była jeszcze jedna rzecz: zostali właściwie mężczyźni, większość mężczyzn. Większość kobiet z dziećmi zabrano. I to tworzy inną strukturę społeczeństwa. Teraz była większość mężczyzn, stosunkowo młodych, to już jest zupełnie inna społeczność.

Stało się też coś, co nie istniało przedtem, na przykład jeśli chodzi o stosunki płciowe – dużo takiej wolności, takiego poczucia: żyjemy dzisiaj, a jutro nas nie będzie. Być może i ta potrzeba – nie być samemu. To był może wyraz tego, że ludzie szukali odprężenia, i tego, że to wszystko nie ma sensu: bunkry, nie bunkry, ludzie, wiara, etyka – to wszystko jest coś, co nie ma żadnego sensu, nie ma miejsca dla tego w tym, co się dzieje.

B.E.: A na co jest miejsce?

I.G.: Na to, że dziś żyjemy, a jutro nie. I to tworzyło pewną określoną atmosferę. Myślę, że była jakaś pustka, jakieś poczucie tego życia na niby. Ale ludzie nie żyli w ciągłej żałobie, bo żałoba może być wtedy, kiedy człowiek wie, że ktoś mu zginął, a on żyje i ma przed sobą życie i wszyscy dookoła mają życie. Ale jak to jest tak: oni już poszli, a nas to oczekuje, nawet na żałobę nie ma prawdziwego miejsca. Niekiedy się słyszało: im jest o wiele lepiej, nas jeszcze to oczekuje… Jak się zazdrościło ludziom, którzy pomarli w swoich łóżkach w czasie, kiedy wszystko było jeszcze mniej więcej normalnie… Życie przestało mieć wartość, gotowość na to, że będzie się walczyć i zginie, stała się czymś, co było zupełnie zrozumiałe.

Natomiast jeśli chodzi o jedzenie, to było więcej jedzenia niż przedtem, bo ludzie zostawili to wszystko, co mieli, i nie było już takiej masy ludzi, którą trzeba było pożywić. Dlatego nie było głodu, albo prawie nie było głodu, jest dosyć szmuglu z placówek. Ale było poczucie tego, że ten zegar porusza się naprzód i że to życie nie jest obliczone na dziesiątki lat, ale na dni, tygodnie, najwyżej miesiące…

Niekiedy pada pytanie: Dlaczegoście nie uciekli? Dokąd uciekać? Oni sobie nie wyobrażają tego… Nawet w dżungli można uciekać… może się to skończyć bardzo źle, ale jest jakaś droga, możliwość poruszania się, wyjścia z tej klatki. A getto to była klatka bez wyjścia – dokąd? Do kogo? Normalny człowiek, młody nie mógł w ogóle o tym myśleć. Bo co to znaczy przejść na aryjską stronę? To było zupełnie jasne – nie jest sprawiedliwe ogólnie mówić, że Polacy wydawali Żydów, ale wśród Polaków byli tacy, którzy wydawali Żydów, i to robili zawodowo. Dokoła tego muru był inny mur… Polacy nie powinni brać odpowiedzialności ogólnonarodowej za to, co było, ale w pewnym sensie – tak. Ja zawsze mówię, że ja nie zwalniam z tej odpowiedzialności polskiego podziemia. Bo polskie podziemie miało dosyć siły, żeby to jakoś wykorzenić. Sprawić, żeby było jasne dla tych, którzy to czynią, że za to zapłacą. To nie było takie skomplikowane. Nie zrobili tego… Dlaczego tego nie zrobili? Widocznie to nie było popularne. Byli tacy, którzy mówili: będzie mniej Żydów, przecież my tego nie robimy… I to bezwzględnie miało swój wpływ. Ale nie można oskarżać przeciętnych Polaków, którzy nie pomagali albo milczeli… To nie była otwarta społeczność, nie można było tak łatwo pisać o tym w gazetach, robić demonstracje, krzyczeć na ulicach; to wszystko było niemożliwe. I codzienne życie tych ludzi było też zupełnie niepodobne… Pewno, że to było wyrazem narastania antysemityzmu w ciągu wieków. Antysemityzmu mocno zakorzenionego w Polsce.

B.E.: Czy był Pan kiedykolwiek po aryjskiej stronie?

I.G.: Nigdy. Nigdy nie spędziłem ani jednego dnia w ciągu tych lat. Przechodziłem tylko, idąc do pracy na placówkę. To był świat obcy, nie mój świat, do którego ja nie należę. I nie mogę należeć – nie mam żadnych szans na to, że ktokolwiek mnie tam przyjmie albo zwróci na mnie w ogóle uwagę. Bo jak to było? Ci, którzy wychodzili z placówkami, chodzili w kolumnach. Jak wracali, zawsze było to samo: dzieci krzyczały, naśmiewano się z nich. Czy to wszystko był antysemityzm? Przecież to śmieszne. Ale oni to tak odczuwali, że jak wychodzą – ludzie tak się patrzą…

* * *

Jesienią ’42 r. wrócił Anielewicz. Byłem na tym pierwszym spotkaniu, jak on powrócił. Wcześniej była Tosia Altman, był Wilner. Ale oni nie mieli tej siły. Była jakaś… to nie tylko z tego powodu, że oni byli innymi ludźmi, oni byli też… Tosia była z Włocławka. Ona przyjechała do Warszawy do Komendy Naczelnej. I choć ona nie miała z nami bezpośredniego kontaktu, wszyscy ją uwielbiali. Ona miała niezwykłą zdolność znalezienia takiego bliskiego kontaktu z ludźmi. Jak ona się zjawiała w Warszawie, to żeśmy wszyscy chodzili do jej pokoju – dla niej – siedziało się na podłodze, pełno było, wszyscy byli zadowoleni. Ona była bardzo ładna i miała w sobie coś takiego, dla każdego miała uśmiech, jakąś uwagę. Ale to nie wystarczało po akcji. Anielewicz wszystkich znał, to byli ludzie z jego gniazda – duża część [to] jego bezpośredni wychowankowie. On był typem… Jeśli ja sobie wyobrażam kogoś z tej całej gwardii, który miał w sobie doprawdy siłę – to jest on.

On prawie nie mówił, tylko słuchał. Dla niego to było coś… słuchał i ciągle pytał o Bresława, to był jego przyjaciel. Ja nie bardzo miałem pojęcie, jak to wygląda, trudno mi uwierzyć, że oni byli przyjaciółmi… oni byli tak różni, że to po prostu zdaje się niemożliwe. Ale mieli dużo szacunku jeden dla drugiego – bo każdy w swojej dziedzinie, w swoich dążnościach i swoim zainteresowaniu miał coś nieprzeciętnego, to jest jasne. Ale Bresław był mu bliski i ciągle wracał do tego tematu. W tej grupie dowództwa oni dwaj znali się sprzed wojny. Anielewicz chciał słyszeć, co się z nim stało.

On zginął w ten sposób, że mieliśmy jednego – był przy Anielewiczu najpoważniejszą postacią w Ha-Szomer ha-Cair – to był Josef Kapłan. On miał kontakty z Ireną Adamowicz[11], należał do tej starszej gwardii Ha-Szomer ha-Cair. On nie mówił tak dobrze po polsku, nie był z Warszawy, nie był w naszym gnieździe. On był w Radzie Naczelnej. Pracował w biurze OBW, przygotowywał dowody, zaświadczenia. Okazuje się, że ten Josef Kapłan przygotował papiery dla grupy ludzi z Droru, którzy wyjechali do Hrubieszowa i mieli tam udać się do lasu. Tam ich złapali i te papiery wydały się jakoś podejrzane. Jeden z członków Droru,

[11] Irena Adamowicz (1910–1973) – polska działaczka harcerska, związana już przed wojną także z żydowskim harcerstwem; zaangażowana w czasie wojny w udzielanie pomocy konspiracji żydowskiej.

Zelcer się nazywał (był starszy, nie należał do tej grupy, został dołączony), wydał go. Przyjechało auto niemieckie do Warszawy, przyszli po Kapłana – początkowo to się wydawało naturalne, bo on był niby takim urzędnikiem w biurze OBW. Wzięli go do tego auta, w środku był Zelcer. Wzięli ich na Pawiak. Zawiadomił o tym Arie Grzybowski, który był członkiem Ha-Szomer ha-Cair. Nie wiem, czy ten Arie Grzybowski został wtyczką Ha-Szomer ha-Cair w policji, czy będąc policjantem, ale kiedyś członkiem Ha-Szomer ha-Cair, przyszedł w pewnym momencie do organizacji i powiedział: stoję do waszej dyspozycji, powiedzcie, co mam robić. W każdym razie ten Grzybowski przyszedł, zawiadomił, że Josef Kapłan i Zelcer są na Pawiaku. I on dostał rozkaz: ciągle być na warcie w pobliżu Pawiaka, zobaczyć, co się z nimi dzieje, i o ile okaże się, że sprowadzają Kapłana na Umschlag, to go odbiją. Z Umschlagplatzu zawsze można było kogoś wydostać. Po dwóch dniach on widział, jak ich Niemcy wyprowadzają. I w pewnym momencie wprowadzili ich do bramy i zastrzelili. I ta wiadomość doszła do Miłej. Szmuel Bresław należał do komendy, przygotowywał ich uwolnienie. Bresław poszedł na Dzielną, żeby zawiadomić Cywię i Icchaka o tym, co się stało. A wtedy było zabronione poruszanie się na ulicach. I gdzieś po drodze zatrzymało się auto – zawołali go. On miał nóż, rzucił, i oni go rozstrzelali.

Następnego dnia albo dwa dni po tym był pogrzeb na cmentarzu. I z grupą pracujących przy warzywach żeśmy się dostali na cmentarz. Tam było pożegnanie… To było okropne wydarzenie, bo i broń została wtedy stracona. Stracono tego dnia całą broń, która była na Miłej. Złapano dziewczynę, która miała przenieść broń na Dzielną. Wzięła tę broń w jakiś koszyk z warzywami i poszła na Dzielną. Dużo tej broni nie było, parę pistoletów… Ale ją złapali Niemcy – przypadkowo. Ja ją bardzo dobrze znałem. Wzięli ją na Umschlag, ale brat ją wyciągnął. To były te najcięższe dni – kilka dni przed kotłem. To były najstraszniejsze dni, było poczucie tego, że się bawimy, że nic z tego nie wyjdzie, że ta cała komenda zawraca nam głowę. Wśród tych młodszych, do których ja należałem, było takie poczucie, że wszystkie te plany to jest puste gadanie. Że myśl o powstaniu to nie jest więcej jak tylko iluzja. Że Niemcy mają takie siły, że my planujemy i męczymy się, i czynimy… co to było, to przeprowadzenie broni… A oni jednym takim kopnięciem – i nie ma nic. I wtedy właśnie była taka atmosfera, że trzeba się rzucić na nich – zabije się pięciu, to się zabije pięciu, zabije się dziesięciu, to się zabije dziesięciu – trzeba skończyć z tym. I wtedy Arie Wilner powiedział: słuchajcie, będzie przerwa w wysiedleniu i trzeba ją wykorzystać, żeby się przygotować… I to uspokoiło nastroje. Widocznie tę wiadomość miał od źródeł polskich. To było decydujące właściwie… Wysiedlenie się skończyło…

B.E.: Czy ktoś z waszego środowiska przechodzi na aryjską stronę po akcji?

I.G.: Żeby pozostać tam? Żeby po prostu urządzić tam? W chwili kiedy ktoś coś takiego uczynił, przestał być człowiekiem.

* * *

B.E.: Gdzie mieszkaliście wtedy? Po skoszarowaniu?

I.G.: To były grupy po 13, 14 osób. To skoszarowanie było w tej grupie na Nalewkach 35, w sąsiednim domu – 37, coś takiego – to była grupa Droru. I z nimi żeśmy się spotykali. Było tam coś jak łóżka – nie łóżka, i broń była w jakiejś walizce pod tymi łóżkami. Oni byli różni od nas, byli trochę starsi, byli ludźmi z prowincji; byli zupełnie inni. I była taka prostota w ich stosunkach – strasznie mi się to spodobało. U nas nie było czegoś takiego, u nas byli inteligenci, czytali książki, gadali, mówili w takim języku – trochę byli różni. A oni byli zwykli. Tyle ciepła było w tym. Bardzo dobre to na mnie zrobiło wrażenie. Pamiętam, że już wtedy były pieniądze. Wie pani, skąd zdobywano pieniądze?

B.E.: Chodzono nocami na „eksy" do bogatych?

I.G.: Tak, mieliśmy nawet więzienie. Pamiętam to więzienie, byłem tam na straży. I w tym więzieniu był młody chłopak, który był synem Mławskiego. Mławski był bogatym człowiekiem, w ostatnim okresie zajmował się w Zakładzie Zaopatrywania rozdziałem mąki. To była rodzina bardzo religijna, w getcie chodził w ubraniu chasydzkim, jeszcze po akcji. I on nie chciał dać, pięciu tysięcy zdaje się, on nie chciał dać. To jego syna wzięto do więzienia. To więzienie było gdzieś – myślę Zamenhofa, blisko Zamenhofa. To była zwykła piwnica. I siedziało tam dwóch. Pamiętam, żeśmy z nimi gadali. To był bardzo sympatyczny chłopak, ten Mławski, to pamiętam. Po wojnie byłem w Stanach i wygłaszałem coś. Gdy skończyłem, podszedł do mnie ktoś i mówi – słuchaj, ja jestem synem Mławskiego, coś ty naopowiadał o tym moim bracie…?

To, co było ciekawe: że były już pieniądze i można było wtedy kupować jedzenie. Już było o wiele więcej jedzenia niż przedtem. Ale jadło się tylko chleb i marmoladę, i jakąś zupkę. Pieniądze były, żeby kupować broń. Ale był jakiś taki spokój… Mieliśmy szkolenia. Były godziny, kiedy się uczono – tych granatów, różne pistolety, różnej wielkości…

Wszyscy byli przygotowani, że to musi przyjść i… nie wiem, skąd to się brało… Może ulga w pewnym sensie i takie przyjacielskie, takie dobre stosunki… może to jest pogodzenie z losem. Ludzie w getcie początkowo nie wiedzieli o istnieniu Organizacji Bojowej. A nagle to się stało elitą. I zaczęli wierzyć w to, że ta Organizacja Bojowa zawsze znajdzie jakieś wyjście, że oni są ostoją, siłą, że oni… być może to miało jakiś wpływ na nas, chociaż wiedzieliśmy dokładnie, że wszystko to jest na niby, wiedzieliśmy, jak to się musi skończyć… Wiedzieliśmy, że zginiemy. Pamiętam, że nikt nie miał planów – pewno, że każdy chciał żyć, nikt jednak nie miał odwagi powiedzieć, że to, że on chce żyć, może być ważniejsze…

B.E.: Mieliście poczucie, że to chodzi o honor?

I.G.: Nie honor, jaki tam… to jest głupstwo. Nie wiem, czy każdy sobie dokładnie zdawał sprawę… Przede wszystkim poczucie tego, że wszyscy zginiemy i że to jest krok zupełnie różny… było poczucie tego, że my czynimy coś, co zależy od nas, w końcu robimy coś, co nie jest tylko wykonaniem tego, co oni nam

narzucają od początku wojny – to było bardzo silne. Siła z rozpaczy i poczucie, że my robimy coś sami – przeciwko nim. I będzie, co będzie… Po wtóre, po styczniu jest to poczucie przynależności do jakiegoś świata, który istnieje – i który zwycięży – w to żeśmy zawsze wierzyli. W końcu myśmy się wychowali w tej tradycji, w szkołach polskich, na podręcznikach polskich. Dla nas romantyzm polski zawsze miał więcej wspólnego z Żydami niż pozytywizm. Bo pozytywizm lubił Żydów, którzy podobni są do Polaków. Romantyzm jednak – ja myślę, że romantyzm widział w Żydach, że oni są częścią tego, czym jest Polska… Romantyzm jako oddanie życia dla społeczeństwa, dla sprawy – było takie uczucie patriotyzmu, który jest wyrazem ofiary dla całości, dla społeczeństwa. To nie zawsze było tak, ale to było bardzo silne w czasie getta. Przed wojną był jakiś dystans między nami a innymi Żydami. Podczas wojny to się zmieniło, u mnie się bardzo zmieniło, też podczas pobytu w obozie. Dla mnie ludzie zwykli stali się ogromnie bliscy i do dzisiejszego dnia ja czuję taką głęboką przynależność do takich ludzi. To się stało właśnie w getcie…

Po akcji styczniowej właściwie getto się zmienia zupełnie. Getto się dzieli, jest poczucie takie, że jest znowu przerwa, ale myślę, że wszyscy albo prawie wszyscy wiedzą już o tym, że to pewnego dnia nadejdzie. I nie ma z tego wyjścia. Ten ostatni okres był doprawdy okresem takiego intensywnego przygotowania. U mnie zostało takie wrażenie zupełnego pogodzenia się z losem, spokoju wewnętrznego. Nie wiem, skąd się ten spokój wziął, nie wiem, jak to z punktu widzenia psychologicznego jest możliwe, ale to było…

Mówiło się, że naszym obowiązkiem jest walczyć w getcie, bo to jest powstanie, które nie ma żadnych aspiracji zwyciężyć albo czegoś dokonać, stworzyć jakieś wyjście, jakieś możliwości na przyszłość… Było jasne, że ono się powinno kończyć zupełną likwidacją, bo innego wyjścia nie ma… Mówiło się też, że my powinniśmy to czynić na miejscu, gdzie zginęli Żydzi i nasi rodzice, i to, co było tutaj życiem żydowskim. I to się stało rzeczą obowiązującą. Tak że nawet bunkrów nie było w Organizacji Bojowej. Bo się nastawiali, że zginą. Nie było żadnej wizji przyszłości. Nie mówiło się o tym. Pamiętam, że kiedyś – to było dosyć wcześnie – może natychmiast po styczniu – było takie spotkanie i coś się o tym mówiło. I jedna dziewczyna powiedziała: a nie będzie nikogo skazanego na życie? Pamiętam, jak na nią patrzyli – jak na kogoś, kto zdradza… jak w ogóle można sobie coś takiego wyobrazić…

Bunkry w Warszawie to jest fenomen, jedyne miejsce, gdzie się to zdarzyło – że całe społeczeństwo żyjących jeszcze w getcie szykuje bunkry. To były pozostałości, prawie rodzin już nie ma. Jak są rodziny, to się składają z dwóch osób. To dziecko, które się widzi na zdjęciu będącym symbolem tego powstania, to jest ogromna rzadkość, bo już prawie nie było dzieci. Ja do dzisiejszego dnia myślę o tym, jak to było, że te dzieci na aryjską stronę brali, a tych dzieci Korczaka nie wzięli?

Może to całe społeczeństwo było naiwne, ale ono wyciągnęło wniosek z tego, że po styczniowym oporze akcja skończyła się wycofaniem Niemców i zaczęli

wierzyć, że Niemcy – jak się próbuje przeciwstawiać, jak jest walka – nie czynią tego w ten sposób, jak to czynili przedtem, że są jakieś hamulce. Styczeń był ogromnie ważny, myślę, że to jest kluczem do zrozumienia tego, co się w Warszawie, w getcie stało. Bo wie pani, kiedy było to wysiedlenie drugie w styczniu, to było wysiedlenie nagłe. Mówiłem, że w poniedziałek zawsze były te przygotowania. Ale wtedy się niczego nie spodziewano, bo w tych samych dniach była obława na Polaków w Warszawie – wysyłano ich na roboty. Myśmy o tym wiedzieli i uważano, że oni są teraz zajęci Polakami, znaczy nic w getcie nie będzie. A oni właśnie to uczynili. Ci sami, którzy zrobili tę obławę na Polaków, zrobili też akcję w getcie. Do OBW dosyć wcześnie doszła wiadomość o tym, że się nie wychodzi, że placówka, która miała wyjść, wróciła. I wtedy Anielewicz urządził spontaniczną akcję. Wziął ze sobą ludzi, dostali to, co było, wszystko prawie, co było w OBW: z 10 pistoletów, parę granatów. Margalit padła wtedy i Eliahu Różański, i jeszcze kilku – prawie wszyscy, którzy poszli. Anielewicz wydostał się z tego, i Merdek – Mordchaj Growas[12], jeden z tych, z którymi byłem blisko związany. I cała grupa prowadzona na Umschlag – setki ludzi – uciekła, jak się zaczęła ta potyczka. To było urządzone w ten sposób, że bojowcy się wmieszali w tłum idących na Umschlagplatz i każdy sobie wybierał jednego Niemca, do którego miał strzelić. W ten sposób: jeden na jednego. W czasie strzelaniny ludzie uciekli, rozproszyli się, Niemcy zaczęli inaczej się zachowywać. Nie chodzili już po strychach, nie szukali w piwnicach, starali się unikać tego… Była też historia na Zamenhofa, gdzie ich tak przyjęto w grupie Droru. W tej grupie, która była na ulicy – właśnie w tym konwoju – to byli tylko członkowie Ha-Szomer ha-Cair. I Niemcy się zaczęli zupełnie inaczej zachowywać. I w końcu wyłapano nie więcej jak 4000 ludzi.

Pierwszego dnia złapali. Potem łapali każdego, kogo mogli. I zabijali też. I chorych, gdziekolwiek jeszcze byli ludzie starzy. Taki człowiek jak [Icchak] Giterman[13] – on został zabity tego dnia. Po prostu wyszedł z bramy i go zastrzelili. Pisze o tym Ringelblum w swoich „Sylwetkach".

B.E.: A pan gdzie był w czasie tej akcji?

I.G.: Ja byłem na Miłej, chowaliśmy się w domach – były jakieś szafy, pokoje zakryte, takie miejsca. I w ten sposób żeśmy się chowali. Ja nawet nie pamiętam

[12] Mordechaj Growas (ur. 1922 w Warszawie, data śmierci nieznana) – w getcie aktywny członek Ha-Szomer ha-Cair, wykonawca wyroku śmierci na Jakubie Lejkinie (wraz z Eliahu Różańskim), brał udział w walkach 18 I 1943 r., w powstaniu dowodził jedną z grup Ha-Szomer ha-Cair, wyszedł z getta kanałami 10 V 1943 r., przedostał się do partyzantki w lasach wyszkowskich, gdzie dowodził 10-osobową grupą Żydów, walczącą w szeregach AK. Ślad po nich zaginął. Najprawdopodobniej wszyscy zostali zamordowani przez polskich partyzantów. Na ten temat zob. Dariusz Libionka, *Polska konspiracja wobec eksterminacji Żydów w dystrykcie warszawskim* [w:] *Prowincja noc. Życie i zagłada Żydów w dystrykcie warszawskim*, red. Barbara Engelking, Jacek Leociak, Dariusz Libionka, Warszawa: Wydawnictwo IFiS PAN, 2007, s. 479–481.

[13] Icchak Giterman (1889–1943) – przed wojną dyrektor Jointu w Warszawie, w getcie nadzorował pracę ŻSS, członek „Oneg Szabat" i JIKOR, pomagał ŻOB.

dokładnie, może nawet nie byłem w jednym miejscu… Ale po tym wysiedleniu styczniowym, które się skończyło po 4 dniach, pojęcie było takie, że oni wysłali prawie 300 000 ludzi poprzednim razem, to o ile będzie jeszcze jedno wysiedlenie – to będzie koniec.

Znalazłem dokument, z którego wynika, że oni dostali rozkaz od Hitlera: zlikwidować 8000. Dlaczego? Bo jemu powiedziano, że jest 8000 dzikich. To on powiedział: trzeba zlikwidować tych dzikich. Nie zlikwidowano 8000, tylko 4000, bo natrafiono na trudności. Ale w pojęciu getta – i nie tylko getta – to była porażka Niemców. I też w raporcie AK jest tak powiedziane: że ze względu na to, że Żydzi przeciwstawiali się, oni przerwali akcję. I to stworzyło właśnie taki mit albo nadzieję, że walka może się stać jakąś drogą ratunku. Bunkry i to wszystko, co się uczyniło w okresie następnych trzech miesięcy, nosiło taki charakter, że był wspólny interes Organizacji Bojowej i zwykłych ludzi. Tego nie było w żadnym innym getcie. Przeciwnie – w Białymstoku i Wilnie, kiedy ludzie Organizacji Bojowej próbowali mobilizować albo zwracać się do tłumu wysiedlanych, nikt ich nie słuchał. Tak było zresztą także na początku wysiedlenia w Warszawie. Uważano, że to są albo prowokacje, albo to mówią ludzie nieodpowiedzialni: jacyś tacy młodzi, pokręceni, którzy chcą walczyć z Niemcami. Z punktu widzenia ludzi wymęczonych, z rodzinami, to było jasne, co oni właściwie mają zamiar uczynić: dokąd iść, jaka walka, gdzie walka? Dlatego oni nie dołączali się. A potem w Warszawie uwierzono w to, że to może wpłynąć na Niemców, o ile będzie walka. I jest ktoś, kto tę walkę wykona, bo gdzieś jest Organizacja Bojowa. Ona istnieje, czuje się ją gdzieś, chociaż nikt nie wie, kto to jest, gdzie oni są, ale oni istnieją i to jest jasne. I to tworzy tę wspólnotę – tę bazę dla wspólnoty.

Prawdą jest, że Organizacja Bojowa w to nie wierzyła, nikt z tych ludzi, którzy stali na czele, nie brał tego poważnie – że walka będzie mogła ratować. Dzisiaj myślę i chyba mam rację, że o ile by nie było tego powstania w Warszawie, to ta niepewność czy walka by nie była w stanie czegoś zmienić – by pozostała. To znaczy jednym z tych osiągnięć – jest śmieszne nazywać to osiągnięciem – było to, że powstanie w getcie warszawskim było dowodem, że walka nie może nic zmienić. Ale to jest ciekawe, że te bunkry po prostu stały się miastem podziemnym, jak katakumby. W czasie akcji nie było bunkrów. W czasie wysiedlenia nie było ukrywania pod ziemią. Na ogół było na strychach albo w jakichś kryjówkach. Ta intensywna praca przygotowania bunkrów zaczyna się po styczniu. Te bunkry są po to, żeby się ukryć – na ile ta rzecz nie wygląda na iluzję – na dłuższy czas.

Nawet trudno powiedzieć, kiedy to się zaczęło. Ale to, co było niezwykłe – że w ciągu trzech miesięcy… staje się coś niezrozumiałego – to getto od stycznia do kwietnia nie jest tym samym gettem, którym było kiedyś. Nie było ogólnej organizacji bunkrów i nikt nie wiedział tego, nie było żadnego porozumienia. W każdym domu była osobna inicjatywa. Każdy płacił, kto miał pieniądze. Kupowało się miejsce w bunkrze. Pamiętam, jak to się kopało, jak były dyżury – kopało się w nocy. I były też dyżury w samym bunkrze – jak się go przygotowywało.

Przygotowano jedzenie na miesiące. Brano pod uwagę możliwość – to też było zupełnie nierealne – że wojna szybko się skończy (już jest po Stalingradzie). I że można grać na czas, to znaczy, że będzie można pozostać w podziemiu przez miesiące. Jednostkom się udało…

Ja znam te bunkry na Franciszkańskiej 30. Tam były trzy podwórza. Jeden bunkier był natychmiast przy wejściu z lewej strony; w nim było wielu ludzi z Bundu. Drugi bunkier był z prawej strony, ale głębiej, przy końcu pierwszej oficyny; ja w nim byłem. A w drugiej oficynie był trzeci bunkier. Gepner był w tym bunkrze. Wszystkie były Zakładu Zaopatrywania. Ten bunkier, w którym ja byłem, był zorganizowany przez [Tadeusza] Tesznera[14]. On był adwokatem, zdaje się, że przeżył wojnę, choć ja go nigdy potem nie spotkałem. On należał do dyrekcji zakładu. Ja byłem odpowiedzialny w tym bunkrze za bezpieczeństwo, otrzymałem rozkaz być w tym bunkrze, bo postanowiono, że tam musi być przygotowane miejsce dla rannych.

Dwa albo trzy tygodnie przed powstaniem powiedzieli mi, że mam iść tam, być w Zakładzie Zaopatrywania. Bo ja w styczniu przywiozłem jedzenie. W styczniu, kiedy żeśmy się ukrywali, wysłano mnie z dwoma, żeby pójść na Franciszkańską i przywieźć jedzenie. Ja poszedłem do Wintera i dali mi jedzenie. Potem dali mi drugi raz. To nie była rzecz prosta. Ale dobra, nic nie było rzeczą prostą.

B.E.: Ale Pana znali i Pan mógł to załatwić?

I.G.: To oni chcieli, żebym ja tam był, gdyby było potrzebne jedzenie. Ale najważniejsze, żeby było miejsce w bunkrze dla rannych. I zostałem wysłany. Ja z jeszcze jednym.

B.E.: Z kim?

I.G.: To dziewczyna… I myśmy zostali tam, w tym bunkrze, 19 kwietnia, kiedy wszyscy zeszli. Organizacja Bojowa powiadomiła z domu do domu ludzi, że zaczyna się wysiedlenie. To widocznie było wiadomo od Polaków, od policji polskiej.

B.E.: Czy były jakieś przygotowania do święta Paschy?

I.G.: Tak. Nawet u nas. To znaczy nie myślało się o czymś koszernym… Ale przygotowania były, ludzie chcieli się spotkać razem, była taka potrzeba. Nawet dla Żydów, którzy nie byli religijni, seder był wyrazem tradycji. Czegoś, co jest inne od codziennego życia. Pamiętam, jakim u nas w domu to było wydarzeniem, cała rodzina się spotykała. Żydzi mieli ogromny sentyment do tego. To jest w ogóle jedna z cech Żydów – nie Izraelczyków – że zawsze się wracało do przeszłości, że ta przeszłość była bogata, miała w sobie treść.

Gepner nie chciał zejść do bunkra. Jego żona strasznie się denerwowała. Wszyscy zeszli, oni zostali sami. Jego siostra, która była w moim bunkrze, prosiła mnie, żebym poszedł go przekonać. To było śmieszne, ja nie miałem odwagi nie tylko coś takiego robić w stosunku do niego, dla mnie on był autorytetem

[14] Tadeusz Teszner – adwokat, w getcie był kierownikiem wydziału kontroli kart żywnościowych w Zakładzie Zaopatrywania.

takim… Ale poszedłem. Tam przyszło wielu ludzi. Winter też ze mną poszedł. W końcu Gepner zszedł. On uważał, że jeśli mają go zabić, to lepiej na górze. Miał coś z mentalności szlachcica polskiego, i tak wyglądał zresztą. Był mały, bardzo niski, ale miał głowę szlachcica: białe wąsy, białą czuprynę i takie oczy silne, silnego wyrazu. Coś promieniało z niego…

Jak to się stało z nim w końcu – ja nie wiem[15]. Też nie wiem, co się stało z Winterem[16]. Powinienem wiedzieć, bo ja byłem razem z jego synem na Majdanku. Jeszcze w Oświęcimiu stałem z nim w jednej piątce i jego wzięli do gazu. Nie dlatego, że jego stan był gorszy od mojego… Myślę, że mój stan był gorszy, ale on był bardzo wysoki… wyglądał jak kij…

I Arie Wilner był w tym bunkrze. Rozmawiałem z nim po nocach właśnie w czasie powstania. To było niezwykłe – ten kontakt, który się stworzył właśnie z nim, nigdy tego nie zapomnę. I też Winter był w tym bunkrze, i tam on mi powiedział, co mi pozostało na zawsze w pamięci – na ogół ja pamiętam źle, ale to pamiętam – on mi powiedział, że już nie chce żyć, ale że chciałby jeszcze żyć tylko po to, żeby wiedzieć, co świat… Siostra Gepnera była też w tym bunkrze. Ten bunkier nie był w piwnicy, bo żeśmy się obawiali, że oni mają plany domów sprzed wojny i mogą wiedzieć, gdzie są piwnice. Więc kopało się ziemię, żeby ten bunkier był pod podwórzem. I to był bunkier niezwykle dobrze przygotowany, bo były prycze i były produkty, i woda, i elektryczność. Nocami przychodzili do Wilnera. Przyszedł Anielewicz i Tosia Altman – oni byli wtedy parą: Tosia i Wilner. I ona przychodziła. Rozmawiałem z nią, a Anielewicz tak na mnie patrzył…

To był taki okres, że bardzo łatwo było poznać człowieka… W takich okolicznościach… Jak się żyje normalnym życiem, bardzo trudno poznać kogoś do końca. On może udawać, a nawet nie udawać – może być ktoś, kto w życiu normalnym jest bardzo grzeczny i bardzo uczynny, i wszystko robić – i mówi się o nim: dobry chłopak. A w takich warunkach jest zupełnie inaczej, na każdym kroku jest coś, co drąży, w powietrzu jest coś… Widzi się, kto jest gotów do końca, kto ma jakieś wahania, widzi się, czy ktoś będzie gotów zrezygnować z tej swojej kromki chleba, widzi się, kto jest zmęczony… I to nie jest zwykłe zachowanie się. To zachowanie się wymaga jakiegoś niezwykłego kroku. I to daje pojęcie o ludziach. Jak mówię o tych ludziach, że oni byli niezwykli, to zawsze mam na myśli to, że ich zachowanie pozostało mi w pamięci. Ja myślę, że… Ja bezwzględnie nie byłem człowiekiem, który był… Byli tacy, którzy szukali tego, żeby coś uczynić, co wymaga najwięcej… Było ich niemało… Jak to było, dlaczego to było – trudno mi na to odpowiedzieć.

Ataki ŻOB-u były z przygotowanych posterunków, skierowane na Niemców wchodzących do getta. Oni musieli przejść przez te miejsca, gdzie były przy-

[15] 3 V 1943 r. został wyprowadzony przez Niemców z Franciszkańskiej 30 i zastrzelony na rogu Gęsiej i Zamenhofa.

[16] Wyprowadzony z bunkra przy Franciszkańskiej 30, został zastrzelony na placyku przy budynku Judenratu na ul. Zamenhofa 19.

gotowane zasadzki: na Zamenhofa, na Nalewkach. Niemcy wchodzili do getta w kierunku do Nalewek, i oni wykorzystali to, wtedy ich atakowali. Wtedy się okazało, ja nie wiem, czy ktokolwiek o tym myślał, czy Anielewicz o tym myślał. Nie wiem, czy on sobie z tego zdawał sprawę, nie wiem, czy dowództwo sobie z tego zdawało sprawę, ale prawdą jest, bo te punkty były dobre i te strychy były połączone i była możliwość obchodu całego getta albo części getta po strychach i były drabiny przygotowane przy tych przejściach. Ale nie brano pod uwagę tego, że zwykły, mały pistolet nic prawie nie jest wart z takiej odległości: 15–20–30 metrów. To jest polowanie… I dlatego te wyniki były dosyć… I był jakiś jeden albo dwa karabiny, które się zdobyło na Niemcach… Bejtarowcy, ŻZW mieli trochę więcej. Ale ja o tym nic nie wiem.

B.E.: Znał Pan kogoś z Betaru?

I.G.: Wiedziałem o nich. W pewnym momencie była nawet konfrontacja z nimi. Kiedy były te „eksy", to kiedyś do jednego miejsca zjawiły się dwie grupy. Albo przyrzeczono komuś, kto dał, że to go zwalnia, a okazało się, że ta druga grupa… Ale w końcu było jakieś porozumienie, podzielono getto na strefy wpływów. Potem oni dostali swoje punkty obronne.

B.E.: A kto był ich dowódcą?

I.G.: Mało o nich wiadomo. Niestety, nie ma ani jednego ich dokumentu – w odróżnieniu do ŻOB-u, który wydał świadectwa… To jest ta smutna rzecz. Jedno jest jasne, że oni mieli inne podejście niż ŻOB. ŻOB miał podejście – walczyć do końca. Przejście na aryjską stronę – Kazik, Edelman – to była rzecz bohaterska, ale nie była planowana z góry. Nie było rozkazu, który by mówił: będziemy walczyć, a potem przejdziemy. To było wynikiem rozwoju sytuacji. Betarowcy mieli swoje własne postanowienie – że będzie akt walki i potem oni opuszczą getto. I oni wszyscy zostali wymordowani.

B.E.: Jak było z flagami? Były?

I.G.: Pewno tak, były te flagi.

B.E.: To ŻZW je wywiesił na placu Muranowskim?

I.G.: Tak, oni zawsze, jak coś się odnosiło do kultury, flag, do robienia wrażenia – oni byli zawsze… Organizacja Bojowa nie brała poważnie… To nie jest takie mądre z tymi flagami, bo to się stało celem, ale to miało sens symboliczny, i myślę, że to miało swoje znaczenie, bo Polacy też bardzo lubią flagi…

* * *

Któregoś wieczoru – nie wiem dokładnie, którego: czwartego, może piątego dnia powstania – był alarm, że pali się coś na strychu, i myśmy wyszli – pięciu ludzi, syn Wintera był między nami – ja miałem takie małe FM, to się gubiło w ręku. Szliśmy zupełnie pewni siebie, bo Niemców nie było w nocy w getcie. I nagle zjawiło się dwóch Niemców. I myśmy już stali z rękami do góry, a ja miałem ten pistolecik, i strzeliłem do tego Niemca. A oni rzucili granat. I każdy z nas gdzieś został ranny. Jeden został poważnie ranny w nogę… Ja w oko. Do dzisiejszego dnia widzę tylko na jedno oko. Zostały mi jeszcze w twarzy odłamki… Szukałem

tego wieczoru w tych raportach Stroopa, ale nie znalazłem. Myślę, że to musiało być przed 1 maja. Dlaczego ja wiem o tym? Bo 1 maja ktoś, kto przybył do Wilnera, opowiadał nam o tym, że była wiadomość w Londynie, że jest powstanie w getcie warszawskim. To było coś niebywałego, ta myśl: tam wiedzą o tym! I że to „Świt"[17] podał. Ja wtedy leżałem przy nim. Oni doprawdy mną się zajmowali… Był tam lekarz, który opiekował się jeszcze mną w wagonie do Majdanka…

I oni podpalili ten dom. Kiedy się zaczął palić ten dom, myślę, że ci ludzie nienawidzili Organizacji Bojowej, uważali, że my jesteśmy winni temu… I kiedy ten dom został spalony, to, co się działo w tych bunkrach… jedzenie i woda, nie nadawało się do użytku… to było coś strasznego… Ludzie się rozbierali zupełnie… zaczęli szaleć… to był właściwie ten stan… ale nie wychodzili…

B.E.: Dużo ludzi tam było?

I.G.: Dziesiątki ludzi… Nie kilkaset, ale dziesiątki. Było zdaje się też drugie wyjście… Był czas, kiedy po tym spaleniu – w tych ostatnich dniach to już myśmy mieli wiadomości – ktoś wyszedł z bunkra, jacyś ludzie przyszli do bunkra, i wiedzieliśmy o tym, że chodzą, czy słyszeliśmy, że chodzą, nad sufitem, bo to było podwórko i słyszało się kroki, i wiadomo już było, że mają psy i że szukają wejść, i że łapią ludzi, którzy pod groźbą śmierci wydają bunkry. Wiedzieliśmy już, że wyciągają ludzi z bunkrów… a potem była wiadomość, że wrzucają gaz. Nie wiedzieliśmy jaki. W naszym bunkrze też wrzucili gaz. Ja nie wiem, jaki to był gaz… on jakoś wpływał na drogi oddechowe. To miało wpływ na sposób oddychania. Ja zachorowałem, wielu zachorowało. Ciągle żeśmy się dusili, mieliśmy taki kaszel.

* * *

W Majdanku odesłali nas do rewiru, to nie był szpital, ale leżało się tam; jak ktoś zostawał dłużej, to był likwidowany… Byli lekarze. I przyszedł tam lekarz polski, i pyta mnie: Co to jest za choroba? Nie chciałem mu powiedzieć, bo obawiałem się, byłem ranny… I on mówi: Co pan mówi za bajki, ja słyszałem o tym, że było powstanie w getcie warszawskim… Nie wiem, czemu mówił „pan" do mnie… I on mi dał jakieś lekarstwa.

Byłem tam na bloku. Byli tam Żydzi – straszni ludzie. To był taki półświatek, warszawiacy. Tacy, którzy wyglądali na inteligentów, jak ktoś miał okulary – to były ich pierwsze ofiary. I ktoś, nie wiem kto, powiedział im, że ja zostałem ranny w getcie. Trochę się liczyli – to mi się wydawało ogromnie dziwne – patrzyli na mnie… nie wyglądałem im na wielkiego bojowca…

Ja byłem na IV polu. Ten obóz IV był nowy, pole IV było nowym polem… To był okropny obóz… tam byłem ze dwa miesiące. Ten Majdanek to było najstraszniejsze… to było okropne… budzili nas o piątej… musieliśmy stać – potem trzeba było dostać się do latryny… Tysiące, którzy stali i czekali… czekało… wal-

[17] Radiostacja „Świt" („Anusia") – polska rozgłośnia radiowa, nadająca z Anglii w latach 1943–1944 audycje skierowane do Polaków, imitująca radiostację nadającą z okupowanego kraju.

czyło o miejsce… trzeba się umyć… trzeba było zrobić łóżko… Zrobić łóżko… to było trudne, bo jak nie, to potem za karę cały barak, cały rząd tego baraku robił gimnastykę. Ta praca to było to, żeśmy dźwigali kamienie z miejsca na miejsce, z miejsca na miejsce, i z powrotem. Nie dostawaliśmy też jedzenia i to – bili… za wszystko… czuło się, jak z dnia na dzień to się wszystko kończy i nie ma sensu… Wiele razy miałem coś takiego, że się już żegnałem ze światem. Dziesiątki razy. Jak przyjechałem do Majdanka i wzięli mnie do kąpieli – byłem nagi – pytałem tych, którzy tam pracowali: Powiedzcie mi, czy to jest prawdziwa kąpiel? Czy to jest koniec? Oni się śmieli ze mnie, ale nie powiedzieli mi nic. To była kąpiel…

A to, że brali mnie z Majdanka do Oświęcimia – nie wiedziałem dokąd. Nie miałem gdzie uciekać, dokąd uciekać, nie myślałem w ogóle o ucieczce. Już byłem sam… znalazłem się w Oświęcimiu, w centralnym Oświęcimiu. Numer 128034… to jest rzecz, to jest coś, co się pamięta… ktoś, kto był numerem…

Jehuda Laufer – on był niezwykłym człowiekiem, dużo mu zawdzięczam, dzięki niemu ja żyję. On pochodził ze Słowacji, pochodził z bardzo religijnej rodziny, ale w Oświęcimiu stał się nie tylko wolnomyślicielem. Nie wiem, jak to się stało, żeśmy się zbliżyli – pracowaliśmy na tym samym komandzie i żeśmy się bardzo zaprzyjaźnili, i on mi wiele pomagał, on mnie uczył, jak żyć w Oświęcimiu. On miał przyjaciela, który zginął przed moim przybyciem do Oświęcimia. Ciągle powtarzał nazwisko ciotki tego przyjaciela. Bo ten przyjaciel go prosił, że o ile on wyjdzie żywy z Oświęcimia, to ma ciotkę w Palestynie – żeby ją znalazł i opowiedział jej. I on przeżył. Po Oświęcimiu już żeśmy nie byli razem, jego wysłali do jednego obozu, mnie wysłali do innego obozu. W czasie ewakuacji Oświęcimia jeszcze byliśmy razem, do dnia kiedy żeśmy przybyli do Mauthausen.

Spotkaliśmy się zupełnie przypadkowo po wojnie, w bardzo dziwnych okolicznościach. Ja byłem w kibucu, do którego była jedyna szosa, tylko dwa razy dziennie przejeżdżał nią autobus. Chciałem pojechać do Tel Awiwu. Trzeba było przejść dziesięć kilometrów od głównej szosy, wtedy to nie była wielka rzecz dla mnie. Nagle w środku drogi, już blisko tej głównej szosy, zjawił się wóz wojskowy. Wyjechał z jakiejś bocznej drogi. Ja nawet nie chciałem go zatrzymywać, to już było blisko. Ale to auto stanęło… I szofer krzyczy: No, ruszaj się, bo ja czekam. To podbiegłem, skoro on czeka. Wsiadam. On na mnie patrzy: Ty jesteś Jurek! To… Tam było jakichś 5, 6 ludzi, po prostu nie wiedzieli, co się dzieje: Wy jesteście bracia? On mówi: Więcej niż bracia… Nigdy nie miałem brata i on był dla mnie więcej niż brat. On mi opowiadał, że kiedy przybył do Kraju, pamiętał to nazwisko i miejsce, gdzie ta ciotka mieszka. I on do niej poszedł i opowiedział, co wiedział o tym przyjacielu. I ona mówi tak: Dlaczego właściwie ty się uratowałeś? I on tego nigdy nie zapomniał, to było coś, co nie dawało mu spokoju. I to nie był pojedynczy wypadek, to znaczy było poczucie tego, że ci, którzy się uratowali z obozu, uratowali się dzięki temu, że inni zginęli, to znaczy, że ich życie okupili tym… dlaczego ja to mówię? Bo ja sobie myślę, jak to było możliwe… Bo doprawdy to było tak, jakby człowiek powiedzmy przez lata ciągle znajdował się na takiej wąskiej desce – i ciągle chodzi – i padają [jedni,] i padają drudzy,

a jeden na tysiąc przedostaje się przez to… Jeśli chodzi o mnie, to był nie tylko – tak było w większości wypadków – zwykły przypadek, że zawsze w takim krytycznym momencie coś było, w czym zupełnie nie było inicjatywy, zupełnie nie było wybrania możliwości, ale przypadkiem…

B.E.: Przypadek czy opatrzność?

I.G.: A dlaczego ja – opatrzność? Ja nie byłem z Bogiem w bardzo dobrych stosunkach, a byli tam tacy, którzy byli – i przeciwnie… Nigdy nie mogłem – trudno mi było sobie to wyobrazić, że ja właśnie gdzieś zasłużyłem na to, o ile w tym logika, o ile w tym jest jakiś sens, który my możemy zrozumieć. Ale ja… mówiąc prawdę – trudno mi wierzyć, że jest w tym… opatrzność, bo dlaczego, dlaczego – niektórzy? Czy ci, którzy uratowali się dzięki tej opatrzności, są lepsi niż inni? Oni zasłużyli się czymś? Czym? To wszystko jest w jakiejś formie niezrozumiałej. To wszystko jest chaotyczne.

Staram się zrozumieć rzeczy, które nie są mi tak bliskie osobiście… ale kiedy myślę o swoim doświadczeniu, nie mogę w moim życiu znaleźć czegoś, co by było dla mnie jakimś znakiem. To, że mi się udało, ma być dla mnie znakiem? Dlaczego? Muszę przecież myśleć też: Dlaczego ja? Czemu ten, czemu tamten? To zupełnie przypadkowe, wszystko przypadkowe… jak chcemy to mierzyć inną miarą: opatrzności, to też stawia mnóstwo pytań. Jakie są odpowiedzi na te pytania? Wszystkie odpowiedzi – nie mamy żadnej pewności, nawet żadnej podstawy poza naszą wiarą w nią. My się tego trzymamy, my się tego łapiemy, żeby jednak wszystko miało jakiś głębszy i wartościowy sens, ale to jest…

Mnie się wydaje… Ja nie powiem, że to życie jest łatwe. Ja miałem takich kolegów, którzy byli jak rodzina. Też ten przyjaciel, Jehuda Laufer, o którym mówiłem – on nie potrafił uwolnić się od wspomnień, to ciągle przeszkadzało mu, we wszystkim. On nie mógł się śmiać, nie mógł mieć przyjemności z czegoś, nie miał cierpliwości do tego, żeby czytać książkę, wyjechać, mieć z tego coś. Ciągle żył tym, że to mu się nie należy, że nie wolno mu… Ja – to jest dziwne, bo ja się tym zajmuję więcej niż inni – zdaje się, że ja potrafiłem znaleźć treść i być częścią tego życia codziennego. Myślę, że to dzięki temu, że w Izraelu zaczęło się nowe życie – jakbym się urodził znowu.

Nie sądzę, żebym znalazł jakieś racjonalne objaśnienie, dlaczego u jednego to wyszło w ten sposób, a u drugiego w inny, trudno znaleźć odpowiedź na to. Ale to jest prawda. Są pewne rzeczy, których ze względu na to, że mam za sobą taką przeszłość, nie będę mógł zrobić. Nie będę mógł do tego stopnia być szczęśliwy, być może… Sądzę, że bezwzględnie wielu ludziom – mnie też między nimi – udało się żyć pewną rzeczywistością tutaj. To zależało od wielu rzeczy, od rzeczy zupełnie prostych, jak język, jak klimat, jak krajobraz, jak książka, kultura tego kraju, jak jakaś ciekawość wszystkiego, co się dzieje, jak możliwość znalezienia pewnych stosunków z innymi ludźmi, poczucia… nawet życia rodzinnego, życia seksualnego – wszystko… Myślę, że… ale to się zdarza różnie…

* * *

B.E.: Na Pana mówiło się Jurek?

I.G.: Nie wszyscy, nie w organizacji. W organizacji to się mówiło po prostu Israel albo Srul. Ale w obozie mnie znali jako Jurka. Jak przybyłem do obozu, to pisałem Izrael-Jerzy, ale to ze względu na to, że Izrael to było dla nich wyrazem obelgi. To ja postanowiłem dodać. Ale nigdy to nie było moje imię z urodzenia. I byli tacy, są jeszcze tacy, którzy mnie tak nazywają, ale tylko ci, którzy mnie znali w Oświęcimiu.

Po wojnie byłem zajęty organizowaniem kibuców, byłem w tym ruchu, który kierował ludzi do Izraela. Byłem we Włoszech – z Austrii – już nie wróciłem do Polski i dostałem się do Włoch. Widziałem w przynależności do tej organizacji coś, co obowiązuje. Było też poczucie tego, że jak się uratowałem, to celem i obowiązkiem jest działać – nie dla siebie, a dla organizacji, dla narodu. Wysłano mnie do Palestyny, byłem członkiem kibucu. Kiedy przyjechałem do Kraju, było jasne, że będzie wojna. Pamiętam, że wtedy byłem zdania, że o ile będzie wojna, to się źle zakończy dla nas. Jest tyle państw arabskich dokoła… A my nie mamy wojska. To wszystko, co jest, to grupy takich amatorów bez wyszkolenia, bez broni, bez pomocy, bez gotowości jakichś państw pomóc im, nie stanowimy żadnej siły, żadnego czynnika, który ma jakąś podstawę międzynarodową. Ale kiedy przybyłem do Kraju, w końcu ’47 r., to nie miałem nic zorganizowanego. Zacząłem szukać – szukałem kibucu, który jest daleko, na granicy. Miałem takie wariackie myśli, że jak już zostałem przy życiu, to muszę wszystko uczynić trudną drogą. No i to było daleko – w Galilei na północy, Lehawot Habaszan na syryjskiej granicy. To było frontem do ’68, ’67 r.

No i tam przybyłem. Muszę przyznać, że było tam kilka wspaniałych lat, choć ciągle były niebezpieczeństwa. To było miejsce, w którym ciągle było zagrożenie. Kibuc był miejscem takim: gromadą ludzi bliskich, żywo związanych wspólnym celem, przyjaźnią i pracą, dopóki byli młodzi. Powoli zaczęły się tworzyć rodziny i były dzieci, i zaczęto myśleć o tym, że nie wystarczy już tylko żyć takim skąpym, purytańskim życiem, i w ogóle Izrael zaczął się zmieniać i stawać państwem, które dawało wiele możliwości. I mieli rodziny i mieli przyjaciół poza kibucem, i rzeczy zaczęły się zmieniać. I powoli się okazało, że kibuc jako kibuc może jest myślą ciekawą i oryginalną, ale to nie jest sposób życia albo to nie jest forma życia dla człowieka normalnego, który ma swoją wolę, ma swoje zainteresowania, ma swoje kaprysy, każdy to ma. Kibuc jest tak urządzony, że właściwie wszystko, czego człowiek potrzebuje, dostaje, i wszystko, czego człowiek chce, powinno przejść przez wolę wszystkich. To powoli tworzy takie ramy, które dosyć naciskają… Ja myślę, że nie jestem szczęśliwy z tym, że byłem tam tyle lat. Kilka lat to bezwzględnie było dobrą szkołą, ale byłem tam dwadzieścia kilka lat. Odszedłem, bo już nie mogłem więcej, rodzina… Szczególnie że zaczęli ze mnie robić takiego przedstawiciela poza kibucem i byłem już więcej w mieście niż w kibucu, i to było ogromnie daleko i to ze względu na rodzinę…

Poza tym, ja pani powiem: stało się coś takiego, że myśmy byli taką grupą zawiązaną w Oświęcimiu – to było doprawdy takim kołem ludzi podziemia w Oświęcimiu. Kiedy – jak opowiadałem – spotkałem swojego przyjaciela przypadkiem po wojnie, dowiedziałem się od niego, że jest duża grupa tych ludzi, którzy się uratowali. Oni są w Tel Awiwie albo w Hajfie, w różnych miastach i się spotykają. Ja o tym nic nie wiedziałem, bo byłem w kibucu, bez jakichkolwiek kontaktów. I od tego czasu zaczęliśmy się spotykać. Na drugim albo trzecim spotkaniu – mieliśmy takiego, który był niby przywódcą tej grupy, starszy od nas, z Mławy – on mówi: Ktoś powinien napisać książkę o tym, cośmy zrobili, gdzieśmy byli, jak było… Kto będzie pisał? Ja myślę, że Jurek to zrobi. Ja mówię: Zawracasz głowę, jakie książki? Kiedy pisanie książki? Ja pracuję w kibucu, nie mogę sobie pozwolić na książki. Ale oni nalegali. I doprawdy napisałem taką książkę. I ona wyszła, i była wtedy w Kraju pierwszą książką o Oświęcimiu.

W kibucu zaczęli się interesować tym. Potem była taka historia, że nagle grupa dzieci w szkole średniej została bez nauczyciela. Postanowili, że ja będę nauczycielem. Dobra, to się stałem nauczycielem – i tak to się wszystko ułożyło. Ja pracowałem przeważnie na roli, z tych 20 lat pewno z 15 lat pracowałem na roli. W końcu dali mi rok – napisałem książkę o Mordchaju Anielewiczu[18]. Potem postanowili, że trzeba mi dać możliwość uczenia się. Pojechałem do Uniwersytetu Hebrajskiego. Rok się uczyłem, to stworzyło takie kontakty między mną a nauczycielami, a przede wszystkim ja dostałem chętkę na to, a oni też byli zainteresowani ogromnie, żebym ja kontynuował studia. I w końcu przyjechałem do Jerozolimy. Moja żona nie bardzo się tym zachwycała, myślała, że coś mi się popsuło w głowie: ja nie mam żadnego zawodu, nie mamy mieszkania, nie mamy rodziny, nie mamy przyjaciół, pójdziemy tutaj gdzieś żyć w mieście. Od początku pracowałem w ten sposób, że pracowałem jednocześnie w Yad Vashem i na Uniwersytecie. Po pięciu latach już miałem doktorat.

To, że się zająłem Holokaustem… Wcale nie miałem ochoty na to, raczej to nie było dla mnie – nie uczyłem się ze względu na to, że chciałem się zajmować Holokaustem. Pierwsze prace seminaryjne, które pisałem, były na temat Żydów niemieckich, Hoffjuden, którzy przy książętach i królach zajmowali się sprawami pieniężnymi, byli doradcami. Pewien profesor raz mnie zaprosił do siebie i mówi: Słuchaj, czytałem te twoje prace – ty będziesz dobry, ale ty powinieneś pisać na temat Holokaustu. Cała kadra, cała ta grupa historyków – w Izraelu i w Stanach Zjednoczonych – którzy się zajmowali nowoczesną historią Żydów, nie byli w stanie pisać o Holokauście. [Rafał] Mahler był najbliższym przyjacielem Ringelbluma. Oni razem studiowali, byli przyjaciółmi. Ostatnie listy, które Ringelblum pisał, to były do niego – a jednak o Holokauście on nie pisał, pisał historię Żydów polskich, ale nie ruszał tej tematyki. Dlatego tak byli zaintereso-

[18] Israel Gutman, *Mered ha-necurim: Mordchaj Anielewicz u-lechimat geto Warsza* [Bunt oblężonych: Mordechaj Anielewicz i walka w getcie warszawskim], Merchawia: Sifrijat Poalim 1963.

wani tym, że ja się tym zajmę. I ja się do tego zabrałem i tak powoli to się zabrało do mnie – i tak to wygląda.

B.E.: Czy to, że Pan się zajmuje tematem Holokaustu, daje Panu dystans do własnych doświadczeń?

I.G.: Myślę, że tak. Początkowo trochę o sobie pisałem. Ale od czasu, kiedy zacząłem zajmować się tym w sposób zawodowy, to nie tylko nie dawałem świadectw osobistych w tym, co piszę, ale czyniłem wszystko, żeby nie powoływać się na siebie samego. Z dwóch powodów: przede wszystkiem historyk – o ile jest rzetelnym historykiem – powołuje się na dokumenty. A o ile się powołuje na świadectwa, to te świadectwa są zawsze wynikiem krzyżowania się różnych świadectw. O ile ktoś opowiada, że widział i wiedział, i słyszał, to przede wszystkim pytanie jest, czy to jest doświadczenie osobiste. A nawet doświadczenie osobiste powinno znaleźć jakieś dodatkowe potwierdzenia, które zgadzają się i uzupełniają. To jest jedno, po wtóre obawiałem się tego, że ja jak mówię: wiem z mojego doświadczenia, to onieśmielam innych. To tworzy dla ludzi młodych i takich, którzy tam nie byli, dystans taki, że trudno dyskutować albo trudno wypowiedzieć jakieś inne zdanie. Dlatego wolałem nie używać tego. Nie wszyscy tak czynili, ale ja to tak czyniłem. Sądzę, że to było słuszne.

B.E.: Czy Pan często opowiada o swoich doświadczeniach?

I.G.: Nie, nie… ja powiem pani prawdę, nawet moim córkom, które są do mnie bardzo przywiązane, nie opowiadałem. Byłem raz w Warszawie z moją młodszą córką, to było zimą. Byliśmy też w Oświęcimiu, musiałem jej tam wszystko opowiadać. Było to strasznie trudne. Raz dałem relację do Stanów Zjednoczonych. Byłem też świadkiem w procesie Eichmanna. Ale tam mówiłem tylko o Majdanku. Oni potrzebowali tylko ten rozdział – nie było komu mówić, padło na mnie.

Dużo razy mnie pytali: Jak ty możesz tak ciągle się tym zajmować? Myślę o moich kolegach z Auschwitz – to była taka grupa powiedzmy podziemia, należeliśmy do jakiejś większej organizacji. Z tej grupy dosyć dużo ludzi się uratowało. Każdy z nich poszedł w innym kierunku. Wszyscy założyli rodziny, wszyscy się dosyć dobrze urządzili. Wrócili do dawnego życia. Oni więcej cierpieli z powodu przeszłości w obozie i w gettach niż ja. I to jest jakiś paradoks, bo nikt z nich nie zajmował się tą przeszłością tak jak ja. Być może właśnie to stworzyło jakiś dystans. To stworzyło coś, niby że ja patrzę na to… Niekiedy nawet muszę przekonywać samego siebie, że ja tam byłem… To stworzyło jakąś taką barierę, ja na to patrzę już oczami kogoś, który wie, co ten powiedział, co tamten powiedział, co o tym mówią dokumenty niemieckie i co o tym mówią świadectwa polskie… Ja to widzę już w jakimś innym zakresie.

B.E.: Jak się dźwiga to doświadczenie?

I.G.: Pewno że się dźwiga, ale z tego punktu widzenia – może mnie się udało lepiej, nie wiem dlaczego, może ja jestem zimnym człowiekiem, może inni to przeżyli głębiej, i to, co przeżyli, złamało ich więcej niż mnie. Ja widziałem całą tę grupę ludzi, mieliśmy stałe kontakty. Żaden z nich nie potrafił się oderwać od przeszłości. Z czasem nie tylko, że pamiętali i to się dawało we znaki w ich życiu

codziennym, ale przeciwnie – ciągle wracali do tej przeszłości i teraźniejszość stawała się dla nich trudna. Zawsze mi opowiadali sny. Wystarczało, żeśmy się spotkali, pięć minut mówiliśmy o tym, jak nasze dzieci i jak sobie dajemy radę w życiu, i natychmiast się przechodziło do tego: pamiętasz jak to było w tym bloku, jak żeśmy wtedy stali całą noc…

A ja śpię spokojnie i wspomnienia mi nie przeszkadzają…